CENA 1 sh.

GAZETA NIEDZIELNA

ROK 6. LONDYN, 20 - 27 GRUDNIA 1953 NR. 51-2/243-4



Bóg się rodzi, moc truchleje:
Pan niebiosów obnażony!
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony!

Wzgardzony okryty chwałą,
Śmiertelny król nad wiekami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę Swą siłą,

Dom nasz i majętność całą
I Twoje wioski z miastami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Słowo Boże

I-sza MSZA — ANIELSKA
Św. Łukasz 2, 1-14

W on czas: Wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby spisano wszystek świat. Pierwszy ten spis odbył się, gdy Cyryn był wielkorządcą Syrii. Szli tedy wszyscy do spisu, każdy do miasta swego. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, jako że był z domu i pokolenia Dawidowego, aby zostać wpisanym wraz z Maryją, zaślubioną swą małżonką, brzemienną. I stało się, gdy tam byli, że wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła syna swego pierworodnego, i uwinęła go w pieluszki i złożyła w żłobie: nie było bowiem dla nich miejsca w gospodzie.

I byli w tej krainie pasterze, czuwający i odbywający nocne straże nad stadem swoim. A oto Anioł Pański stanął przy nich i jasność Boża zewsząd ich oświeciła, tak że zlękli się bojaźnią wielką. I rzekł im Anioł: Nie lękajcie się, oto bowiem zwiastuję wam radość wielką, która będzie wszystkiemu ludowi, że się wam dziś narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym. A to będzie dla was znakiem: Znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i złożone w żłobie. I nagle zjawiły się z Aniołem zastępy wojska niebieskiego, wielbiące Boga i mówiące: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

II-ga MSZA — PASTERSKA
Św. Łukasz 2, 15-20

Onego czasu: Pasterze mówili jeden do drugiego: Pójdźmyż aż do Betlejem i zobaczmy to, co się stało, o czym oznajmił nam Pan. I śpiesząc się przybyli i znaleźli Maryję i Józefa oraz Dzieciątko złożone w żłobie. A ujrzawszy, zrozumieli słowa, które im oznajmione były o tym Dzieciątku. A wszyscy, którzy słyszeli, zdumiewali się; także i temu, co im mówili pasterze. Maryja zaś zachowywała wszystkie te słowa, rozważając je w sercu swoim. I wrócili pasterze, wielbiąc i chwaląc Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jako im było powiedziane.



Rys. Wojciech Krawczyk

III-cia MSZA — KRÓLEWSKA
Św. Jan 1, 1-14

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. W nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemnościach świeci i ciemności jej nie ogarnęły.

Był człowiek posłany od Boga, a Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby świadczyć o światłości, aby przez niego wszyscy uwierzyli. Nie był on światłością, ale miał świadectwo dać o światłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego. Na świecie był, a świat był przez niego stworzony i świat go nie poznał. Przyszedł do swej własności, a swoi go nie przyjęli. A wszystkim, którzy go przyjęli i uwierzyli w imię jego, dał moc, aby się stali synami Bożymi; którzy nie z krwi, ani z żądzy ciała, ani też z woli ludzkiej, ale z Boga się narodzili. A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę jego, pełnego łaski i prawdy, chwałę jako jednorodzonego od Ojca.

GRUDZIEŃ

20	n	**4 Adwentu, Liberata m.**
21	p	Tomasza Apostoła
22	w	Franciszki Cabrini p.
23	ś	Wiktorii p.m.
24	c	Wigilia Bożego Narodz.
25	p	**Boże Narodzenie (św. ob.)**
26	s	Szczepana pierwsz. m.
27	n	**W okt. B. Nar. Jana Ap. i Ew.**
28	p	Młodzianków mm.
29	w	Tomasza b.m.
30	ś	Eugeniusza b.w.
31	c	Sylwestra I P.w.

KS. BRONISŁAW MICHALSKI

BÓG SIĘ RODZI, MOC TRUCHLEJE

ROK rocznie w kraju i na szlakach naszego uchodźstwa obchodzimy uroczyście pamiątkę tego wiekopomnego wydarzenia, kiedy nad grotą betlejemską wysłańcy niebiescy obwieścili ludzkości radosną nowinę, że Syn Boży przyjąwszy naturę ludzką przybył na ziemię, aby wskazać człowiekowi drogę do prawdziwego szczęścia i pokoju. Przedwieczne Słowo ciałem się stało i zamieszkało między nami.

W okresię przedświątecznym w ciągu czterech niedziel adwentowych Kościół katolicki w swej liturgii zachęca wiernych, by przygotowali swe serca i dusze do godnego oddania hołdu i czci Bożej Dziecinie. W pierwszą niedzielę adwentu w lekcji Mszy św. wóła do nas apostoł narodów: „Bracia, wiedzcie, że czas nadchodzi, że już pora nam powstać ze snu; albowiem teraz bliższe jest nasze zbawienie niż kiedyśmy uwierzyli. Odrzućmyż tedy uczynki ciemności, a obleczmy się w zbroję światłości" /Rzym. XIII — 11-13,/

W ekonomii Bożej Stwórca Pan na głębiach duszy ludzkiej zasiał pragnienie kontaktu z Bogiem. Spontanicznie dąży człowiek do rozwiązania zagadnienia swego bytu ziemskiego, szuka na różnych drogach szczęścia i pokoju. Pokolenia ludzkie od wieków wyczuwały, że musi nastąpić interwencja Boża i objawić drogę wiodącą do światłości i pokoju. Ta tęsknota wyraziła się w prośbie proroka Izajasza: „Spuśćcie rosę niebiosa z góry, a obłoki niech spuszczą ze dżdżem Sprawiedliwego, niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela" /Iz. 45/.

Gdy nastąpiło wypełnienie czasów, niebo spuściło swój skarb najdrojższy. Syn Boży Jezus Chrystus od tego momentu historycznego stał się dla całej ludzkości drogą, prawdą i żywotem.

Chór anielski nad stajenką betlejemską zanucił hymn radości i wesela, który kapłani odmawiają w czasie Mszy św. „Chwała na wysokościach Bogu" t. z. szukanie wszędzie i zawsze Boga w naszych myślach, słowach i czynach, przestrzeganie Jego praw i zasad moralnych w życiu rodzinnym, społecznym, politycznym i państwowym. A dopiero wtedy będzie się realizować praktycznie oczekiwane królestwo Boże na ziemi i nastanie „pokój ludziom dobrej woli".

W Betlejem rozpoczyna się nasza era chrześcijańska. Wiele w ciągu wieków po narodzeniu Chrystusa Pana powstawało systematów i kierunków polityczno-społecznych, które miały na celu danie człowiekowi pełni szczęścia i zadowolenia. Jednak w próbie życia okazało się, że były to surogaty i namiastki szczęścia, które podobne się stały do baniek mydlanych, świecących tylko na moment kolorami tęczy, by zniknąć bezpowrotnie.

Dziś na naszych oczach rozgrywa się wielki dramat i walka dwóch światopoglądów materii i ducha. Pierwszy wyłącznie materialistyczny odrzuca wszelki pierwiastek duchowy. Nie uznaje człowieka, jako istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boże, niszczy jego godność i osobowość, sprowadza jego sytuację socjalną do poziomu niższego od zwierząt. Uznaje i popiera tylko kult siły fizycznej i poza materią nie chce widzieć żadnych innych wartości.

Drugi to idea chrześcijańska, to światłość Chrystusa, która przez wieki w ciemnościach życia doczesnego nieustannie świeci. W nauce tej jako złota nić przewija się najwyższy wykwit cnót chrześcijańskich, opartych na fundamencie miłości Boga i bliźniego. W mrokach tragedii ludzkich Chrystus Pan po wsze czasy jest i będzie nieustannym światłem wskazującym drogi do prawdziwego szczęścia i pokoju.

Doroczne święto Bożego Narodzenia przypomina całemu światu chrześcijańskiemu obowiązek walki w obronie tych wartości, które stanowią istotę chrześcijaństwa. W obecnej sytuacji już nie ma stanowiska pośredniego, ani neutralnego. Decyzja tylko jedna: pójść z Chrystusem, albo przeciw Niemu.

Naród polski wychowany od kolebki na kulturze zachodniej związał się z Kościołem katolickim tak silnie, że jego tradycja religijno-narodowa przez całe wieki promieniowała na życie rodzinne, społeczne i państwowe. I słusznie nazwano Polskę „Przedmurzem Chrześcijaństwa".

Boże Narodzenie to święto rodziny polskiej, gdyż najmilsze wspomnienia łączą się z naszymi wewnętrznymi przeżyciami i związane są z tą piękną uroczystością. Wigilia to symbol jedności i zgody, opłatek to znak miłości bratniej i pamięci o najbliższych. Jak głęboko przeżywaliśmy i dziś przeżywamy te chwile w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Nasze kolędy jakże żywo tkwią w naszej pamięci, przypominając nam naszą ojczyznę. Pasterka to wspomnienie naszych kościołów polskich we wioskach i miastach. To nas zespala i łączy w jedną wielką polską rodzinę. Mimo tragicznych przeżyć i wielkich cierpień święto Bożego Narodzenia dla naszego uchodźstwa jest głębokim przeżyciem, łączącym nas z całością naszego narodu w kraju. Jest ono najlepszą nadzieją na lepszą przyszłość.

Wszyscy Polacy w tym dniu zwracają się do Chrystusa narodzonego ze słowami kolędy na ustach: „Podnieś rączkę Boże dziecię, błogosław ojczyznę miłą, w dobrych radach w dobrym bycie wspieraj jej siłę swą siłą". Niech ta prośba będzie dla nas Polaków na całym świecie rozsianych zachętą do wytrwania i zachowania tych wartości, które przez całe wieki były dla nas jako narodu źródłem siły i mocy w walce o wiarę ojców i ideały wolności i niepodległości naszej ojczyzny.

Ks. infułat Bronisław Michalski
Protonotariusz Apostolski

Ze wspomnień: 35 lat temu

MIĘDZY POLSKĄ A PARYŻEM W KOŃCU ROKU 1918

Stanisław Stroński

JEDNYM z najbardziej wstrząsających moich przeżyć — lub raczej w ogóle najbardziej wstrząsającym — był tak krańcowo odmienny i niestety tak straszliwie odmienny bieg zdarzeń dla Polski po pierwszej wojnie 1914 — 1918 a po drugiej 1939 — 1945. W obu wojnach była Polska i sprawa Polski po stronie zwycięskiej, w drugiej nawet w większej mierze niż w pierwszej, bo w pierwszej dopiero dążyła do niepodległości w oparciu o Sprzymierzony Zachód, a w drugiej od pierwszego do ostatniego dnia wojny była państwem sojuszniczym i wydatnie walczącym. A jednak po pierwszej wojnie w r. 1918 Polska była wskrzeszona, a po drugiej w r. 1945 została znowu wydana w niewolę.

Dlatego, jak stale, tak i obecnie, w 35-tą rocznicę końca roku 1918, wracam myślą i sercem do tych dni i tygodni po zwycięskiej pierwszej wojnie:

— Ja jedną tylko taką... zimę miałem w życiu.

Wracam, jak do innego, lepszego świata.

ZE LWOWA

GDY, w początku listopada 1918 wojna dobiegała do końca, byłem od 31 października wieczorem chwilowo we Lwowie, by naradzić się z przyjaciółmi przed wyjazdem do Warszawy, dokąd wezwał mnie utworzony 26 października Rząd Świerzyńskiego, zmierzający do wyjścia z ustanowionego zarządzeniami niemiecko-austriackimi ustroju z Radą Regencyjną na czele. Ale w kilka godzin po mym przyjeździe z Krakowa, nad ranem 1 listopada, Ukraińcy, którym dowódca austro-węgierski we Lwowie gen. Pfeffer, wydał koszary, broń i składy, opanowali miasto kilkutysięczną siłą. Tegoż 1 listopada rano, Czesław Mączyński, stając na czele polskiej strony miał 64 młodocianych żołnierzy w szkole im. Sienkiewicza w górnej części miasta, koło dworca kolejowego. W miarę jak zdobywali jeden i drugi i trzeci skład broni, przybywało żołnierzy. Po trzech dniach polska strona obejmowała już połowę miasta, ale ciągle wobec ogromnej przewagi przeciwnika we Lwowie i zalewu dokoła w kraju.

Dnia 8 listopada rano, z polecenia Dowództwa Obrony, wyleciałem jednym z dwu samolotów, którymi wówczas rozporządzano, naprzód do Krakowa, by przyspieszyć posiłki, a stamtąd miałem starać się dotrzeć jak najrychlej do Paryża, by tam o stanie rzeczy w Małopolsce Wschodniej powiadomić Polski Komitet Narodowy.

W Krakowie były już rządy polskie. Bo już 28 października 1918 pełne zgromadzenie posłów polskich do parlamentu austriackiego obwieściło, że zabór austriacki należy do Państwa Polskiego i obrało zarząd tymczasowy pod skromną nazwą Komisji Likwidacyjnej, która nazajutrz odebrała przysięgę od kierowników urzędów, i której zarządzeniom poddały się władze wojskowe austro-węgierskie, przeprowadzające odjazd oficerów i żołnierzy z innych krajów rozpadającej się monarchii habsburskiej. Siedzibą Komisji Likwidacyjnej miał być Lwów, ale członkowie jej w drodze do Lwowa 1 listopada 1918, dowiedzieli się o zajęciu miasta przez Rusinów i zawrócili do Krakowa. Kilka dni zajmowałem się w Krakowie przynaglaniem odsieczy w naradach z ówczesnym dowódcą krakowskim gen. Roją i z Komisją Likwidacyjną, a także na wiecu w tej sprawie. Sprawa była niełatwa, ale była w najlepszych rękach Aleksandra Skarbka, który gromadził posiłki nad Sanem. Lwów, bohaterstwem niemal bezprzykładnym wówczas swych obrońców z dziećmi włącznie, wyparł 22 listopada nieprzyjaciela z całego miasta, ale kraj był jeszcze nadal zajęty.

DO PARYŻA

JECHAŁEM do Paryża przez Wiedeń i przez Szwajcarię. W Austrii korzystałem z nieładu i z braku wszelkiej władzy. Wobec Szwajcarii i w Szwajcarii korzystałem z jej dobrej woli, zaczynając od poselstwa w Wiedniu, któremu rozmowa z posłem o stanie rzeczy w Polsce, pismo Dowództwa Obrony Lwowa mianujące mnie jego wysłannikiem, papier z pieczątką Komisji Likwidacyjnej, wystarczyły dla uzyskania dla mnie telefonicznie z Berna prawa wjazdu i przejazdu.

W Szwajcarii zetknąłem się z pierwszymi placówkami władzy zapowiadającego się dopiero niepodległego Państwa Polskiego, którą był Komitet Narodowy Polski w Paryżu, utworzony w sierpniu 1917 a uznany przez Mocarstwa Zachodnie w jesieni 1917, czyli od roku z górą przyciągający serca Kraju i działający w styczności z tajnymi lub pół-tajnymi Kołami Międzypartyjnymi w trzech dzielnicach. W Bernie przedstawicielem dyplomatycznym Komitetu był Jan Modzelewski, pierwszy ambasador Polski, z którym się zetknąłem na progu wskrzeszonej niepodległości. W Lozannie na czele tamtejszej Agencji Prasowej, założonej już w końcu roku 1915, nim powstał Komitet, stał wówczas Bronisław Wierzyński, starszy brat dziennikarza Hieronima i poety Kazimierza, a mój serdeczny przyjaciel z tajnego Zetu i Ligi Narodowej.

Genewa w neutralnej Szwajcarii, na jej skraju południowo-zachodnim, tonęła w barwach sprzymierzonych zachodnich i grała radośnie światłami, w niczym niepowstrzymanej świadomości, że to jest to zwycięstwo całego wolnego świata.

Przybywając do Paryża 23 listopada 1918 rano, prosto z dworca lyońskiego do Komitetu, avenue Kléber 11 bis, trafiłem dobrze, gdyż tegoż dnia wrócił z jesiennego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki przewodniczący Komitetu Narodowego Polskiego, Roman Dmowski.

Z rozmowy z nim wynikło, że pojechałem znowu zaraz do kraju, celem porozumienia się w Warszawie z kierownictwem Ligi Narodowej i Kół Międzypartyjnych i zażywszy widoku i wrażeń wolnej Warszawy szybko wróciłem do roboty w Paryżu.

STOLICA ŚWIATA 1918/19

PARYŻ był wówczas na prawdę i słusznie stolicą świata. Kto go wtedy nie widział i jego tchnieniem nie żył, nie odtworzy sobie tego nastroju. Był w nim, obok żywiołowej radości, pęd do wielkiego zwrotu w dziejach ludzkości. Uniesienie, które ogarnęło miasto 11 listopada 1918, na wiadomość o zwycięskim zawieszeniu broni, gdy przez parę dni cały Paryż żył na ulicy, rozśpiewany Marsylianką, Madelon i Sambre et Meuse, nie rozwiało się, nie zgasło, nie minęło, lecz drgało i tchnęło ciągle pogłębiając się myślami o jutrze.

Nie mogło być inaczej w Paryżu po zwycięstwie, skoro był on tym czym był i taki jak był w czasie wojny. Podchodziła ona blisko ku stolicy, jak na początku wojny, w pierwszych dniach września 1914, kiedy doniesienia niemieckie właściwie zapowiadały bliskie zajęcie miasta, skoro mówiły, że jazda armii von Klucka zapuszcza się w okolice Paryża, co odparła za kilka dni bitwa nad Marną, a także pod koniec wojny, w ostatnich dniach maja 1918 więc jakoś ratować autorytet w uderzeniu Chemin - des Dames, tej ostatniej próbie Niemiec przed ich przełamaniem. Paryż, stolica ziemi francuskiej, na której przez cztery lata ważyły się losy Europy i świata, był sercem odporu, więc też w chwili zwycięstwa stał się sercem świata.

W Paryżu był wtedy Clemenceau i Foch, którym Izba Posłów 11 listopada uchwaliła razem, że dobrze zasłużyli się ojczyźnie, a lud paryski widział w 78-letnim wówczas Clemenceau uosobienie największej przygody, nazwał go ojcem zwycięstwa, le Père — la Victoire, tak jak żołnierze, gdy zjawiał się w pierwszych okopach nazywali go po prostu le Vieux, i już wtedy, jak zawsze w Paryżu wesoła piosenka śpiewała, że ktokolwiek ma przejeżdżać, czy prezydent czy król - sojusznik, ludek tylko jego chce: Et voila le populo Qui crie: vive Clemenceau!

Do Paryża przybył w połowie grudnia 1918 Prezydent Wilson — a była to pierwsza taka podróż do Europy od istnienia Stanów Zjednoczonych Ameryki — by tu na Konferencji Pokojowej starać się oprzeć życie międzynarodowe na prawie, sprawiedliwości, wolności.

I wtedy to w Europie Środkowo - Wschodniej odzyskało lub wzmocniło niepodległość dziesięć państw, które ją po drugiej wojnie utraciły.

Jakże nie wracać myślą do 1918-1919!

Stanisław Stroński

POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSZYSTKIM, KTÓRYCH ŁĄCZY IMIĘ CHRYSTUSA I WSZYSTKIM LUDZIOM DOBREJ WOLI ŻYCZENIA POGODNYCH I WESOŁYCH ŚWIĄT SKŁADA W DNIU NARODZENIA PAŃSKIEGO

„GAZETA NIEDZIELNA"

****

Noc zimowa

Skrzeń tajemnica,
Rozzłoceń mus!
We mgle księżyca
Jarzy się mróz!

Okruchy śniegu
Siecią swych fal
Zasnuły w biegu
Bezbronną dal

Gmatwając loty
Tamując dech —
Obsiadły płoty,
Jak siwy mech.

Do szyb się garną,
Jak białe ćmy,
Tchnąc w izbę parną:
„To — my! To — my!"

Z karczmy, w zakrzepły
Rozwartej świat,
Dym bucha ciepły,
I blask i czad!

Zaprzepaszczony
W ciemni bez dróg —
Drzewom przez szrony
Złoci się — Bóg.

Sad wśród topieli
Śniegowych głusz
W śmierci się bieli
Bez róż — bez zórz!

W swej pysze pawiej
Łez tłumiąc znój,
Wśród śnieżnych zawiej
Sen kroczy mój...

Bolesław Leśmian

****

O POLSKIEJ ZIMIE NA ZIEMI ŚWIĘTEJ

GAWĘDA WIGILIJNA

Napisał WIT TARNAWSKI Ilustrował W. SZOMAŃSKI

Moim siostrzeńcom.

KIEDYŻ to oglądaliśmy po raz ostatni rzetelne święta Bożego Narodzenia, do jakich przywykliśmy od dzieciństwa — z śniegiem po kolana, trzaskającym mrozem i pierwszymi gwiazdami drżącymi na sinym od od zimna niebie? Aż strach pomyśleć, że było to jeszcze w roku 1938! Piętnaście lat... Odtąd wszystkie święta wydawały się w czymś chybione i nie takie jak należy: to skąpane w deszczu, to wysuszone słońcem a w najlepszym razie wabiące lichą imitacją zimy, która nawet dnia nie potrafiła przetrwać.

Szczególnym trafem z wszystkich świąt najgorsze i najbardziej do umiłowanego ich obrazu niepodobne — były te, które zaskoczyły mnie w 1941 r. właśnie w Chrystusowej ojczyźnie, w Palestynie.



Szedłem przodem, łamiąc parcie wichru...

Oczekiwało się tych świąt w głębokim poruszeniu duszy. Wszyscy byliśmy bliżsi Bogu w owym czasie, tak świeżej utraty wolności i cudownego przeniesienia na ziemię Zbawiciela jak gdyby na to, abyśmy mogli błagać Go o szybki powrót do własnej ojczyzny.

Toteż już na wiele tygodni wcześniej czyniono gorączkowe przygotowania do wyjazdu na pasterkę w Betlejem, u kolebki Bożych Narodzin. Zwołał się na tę wielką chwilę wszystek naród polski z najdalszych kątów Palestyny, zamówiono samochody, wyznaczono miejsca zbiórek i — czekano.

Słota rozpętała się na dzień przed wigilią. Słota tamtejsza, nieustanna, stapiająca niebo i ziemię w jeden wodny świat. Nie dziw wcale, że opowieść o potopie zrodziła się w tamtych stronach.

Przeddzień wigilijny spędziliśmy jeszcze w nieśmiałej nadziei, że może wypogodzi się na samą wigilię. Ale w miarę upływu godzin zawierucha przybierała tylko na sile — wbijając wszelką nadzieję w rozmokły grunt. Do ulewy dołączyły się przelatujące z trzaskiem grady, a kiedy grad ustawał, dziki wicher pluł ludziom wodą w oczy, nie gorzej od gradu. Wydawało się, że to sfora diabłów, wypuszczona na ziemię, czyni wszystko ażeby zbrzydzić chrześcijańskiemu światu Pana Jezusową pasterkę.

I rzeczywiście, innym razem nawet kulawego psa nie wypędziłby z domu na taką pogodę. Ale w tamtą pierwszą palestyńską wigilię nic i nikt nie zdołałby nas powstrzymać. Jakżeż utracić jedyną w życiu okazję wysłuchania pasterki w Betlejem, w samej Bazylice Narodzenia! Trudno przecież było wtedy przewidzieć, że będziemy na te betlejemskie pasterki jeździli corocznie, jeszcze przez szereg lat — aż Betlejem stanie się nam takim samym „nie bardzo podłym" miastem, jak tyle innych miast na świecie.

Mieszkałem w tym grudniu 1941 r. wraz z całą moją rodziną, na przedmieściu Jerozolimy Beit-ha-Kerem. Przedmieście to leży na zboczu wzgórz, z których patrzy się poprzez głęboki dół na oddaloną i rozległą panoramę Świętego Miasta, od samej zaś Jerozolimy dzieli je spory kawał nagiego wydmuchu bez domów i drzew, który zresztą w normalnym czasie szybko się mija kursującym co kwadrans autobusem.

Z pasterki mieliśmy wracać nad ranem, kiedy żadne autobusy już nie kursują. Przedstawiałoby to problem nawet w pogodne noce, a tym bardziej podczas rozpętanej niepogody. Któż jednak troszczył się w owej chwili o takie rzeczy?

Po wspólnej rodzinnej wigilii wyruszyłem wraz z siostrą i kuzynką na zbiórkę w polskiej stołówce o ile pamiętam przy ulicy Mamillah, skąd wynajęte autobusy miały nas przewieźć do Betlejem. Włożyliśmy na siebie wszystkie nieprzemakalne stroje, jakie znajdowały się w domu — że każdy wyglądał jak wielowarstwowa głowa kapusty — ale zanim jeszcze dotarliśmy do miejsca zbiórki przemokliśmy zarówno od góry jak od dołu. Nie było żadnej ochrony przed niszczącym deszczem i wichrem, który wprost rozrywał okrycia. Przez ulicę Mamillah, leżącą u zbiegu dwu wzgórz jerozolimskich, trzeba było brnąć, jak łożyskiem wezbranego potoku.

Nie pamiętam już dokładnie przebiegu drobnych utrapień na samym miejscu zbiórki. Samochody spóźniały się, ktoś poplątał zamówienia. Przeżyliśmy chwile dotkliwego przykrego lęku, że trzeba będzie zrezygnować z pasterki. W końcu jednak jakieś wozy przybyły i cała kawalkada ruszyła z miejsca.

Nie zapomnę chyba tej nocnej jazdy.

Droga do Betlejem jest kręta i górzysta a arabscy szoferzy, jak wiadomo, prowadzą po wariacku. Stare, rozklekotane samochody sadziły przez ulewę i ciemność, jak gdyby diabeł siadł przy kierownicy i chciał nas wszystkich uprowadzić od betlejemskiej pasterki — ku zgubie. Pod dotknięciem samochodowych świateł wyskakiwały z mokrej nocy okrojone strzępy krajobrazu, niepodobne do niczego i groźniejsze niż sama ciemność.

Napotykane co chwila rozlewiska wody rozchlastywały się z sykiem pod pędzącymi kołami. Na każdym ostrzejszym zakręcie, branym przez kierowców prawie bez przyhamowania, zdawało się, że ześlizgniemy się po rozmokłym brzegu w przepaść.

Wreszcie samochody zaczęły hamować, przed nami zamajaczyły mury jakichś budynków i wóz za wozem stawał w długim szeregu. Byliśmy już w Betlejem, kazano wysiadać.

Poprzez niziutkie wejście — nawet nie na wysokość człowieka — przecisnęliśmy się z nocy do rozjarzonego światłami wnętrza Bazyliki, która, mimo że zdawało by się już pełna, chłonęła bez trudu napływające wciąż, jeszcze gromady. Znaleźliśmy się naraz jak gdyby wśród zboru ludzi z całego świata, okrążyły nas nieznane języki i wszelakie odcienie skóry. Palestyna była wtedy pełna różnych wojsk i grup uchodźczych i kto mógł przybywał w tę ulewną noc, by złożyć hołd Zbawicielowi.

Ale właśnie wtedy — już u przystani — rozładowało się napięcie psychiczne, które mimo tylu oporów, przywiodło nas na tę betlejemską pasterkę. Na polską Mszę trzeba było czekać niezwykle długo, bo najpierw szły pasterki innych obrządków. Ogromny kościół ciekł wodą i dymił parą z przemoczonych okryć. Mimo ścisku niesposób było się rozgrzać, cóż z tego, że w ciasnym, skoro mokrym oparciu o sąsiada. W udręce czekania, w trzęsącym zimnie cielesnym, rozwiewały się resztki przyniesionego nastroju. Gdy rozpoczęła się wreszcie polska pasterka, pozostało tylko pragnienie, żeby jak najprędzej się skończyła.

Tak więc, jak nieraz w życiu bywa, wielkie przeżycie przemieniło się w wielki zawód. Mogło się zdawać, że to bynajmniej nie przypadek rzucił tę dziką wichurę na Święte Miasto, że naprawdę komuś zależało na tym, byśmy u kolebki Zbawiciela nie mieli już sił błagać o łaskę powrotu.

Ale najgorsze dopiero czekało. W powrotnej drodze przypomniałem sobie naraz z niepokojem, że pomiędzy Jerozolimą a Beit-ha-Kerem nie ma już o tej porze komunikacji. W autobusie zaczęła krążyć naiwna pogłoska, że jeden z wozów ma nas podwieźć na przedmieście, ale gdy dotarliśmy do autobusowego garażu, przy Jaffskiej drodze, pokazało się, że żaden z kierowców i za żadne pieniądze nie zamierza kontynuować nocnej jazdy w tę psią pogodę.

Trzeba było więc przejść tych kilka kilometrów przez podmiejskie nagie wzgórza piechotą. Naprawdę nie wiem jak zdołaliśmy w końcu dotrzeć do domu. Szedłem przodem, łamiąc parcie wichru, a kobiety nadążały za mną. W tej przedrannej godzinie nawałnica osiągnęła chyba swój szczyt. Lecący mur wody i powietrza osadzał prawie na miejscu i spychał z drogi. Deszcz wnikał wszędzie i siekł aż do bólu — pomieszany chyba z gradem czy śniegiem. Siły moje wyczerpywały się, ogarniał mnie lęk o kobiety, że w pewnej chwili staną i nie pójdą dalej. Jakoś wreszcie dobrnęliśmy do domu.

Spałem jak kamień prawie do południa Obudziłem się już odprężony, choć jeszcze w bezgranicznym zmęczeniem i lenistwem w kościach. W domu było zacisznie i ciepło: noc miniona wydawała się już tylko złym snem. Nastrój świąteczny odradzał się z gruzów, myśli popłynęły w dobrą przyszłość.

Do łóżka — gdy tylko usłyszeli mój głos pytający o godzinę — podbiegli moi mali siostrzeńcy: czteroletni blondyn z kędzierzawą czupryną i jego dwuletni braciszek, dla czarnych oczu i włosów, przezywany w rodzinie Rumunem. Jak każdego dnia zaczęli gaworzyć i o wszystko pytać, wlepiając zaciekawiony wzrok w nasze wczorajsze okrycia rozwieszone dla schnięcia.

I oczywiście zaczęli się dowiadywać jeden przez drugiego:



Jak każdego dnia, zaczęli gaworzyć...

„Wujciu, czy w Polsce tak samo na Boże Narodzenie deszcz ciągle pada?"

Broniąc godności naszych świąt zaprzeczyłem żywo i zacząłem — jakże lekkomyślnie — opowiadać o tym jak cała polska ziemia powlekała się na święta śnieżną bielą, jak z tej bieli wyrastały ciemne lasy choin kiedy się w pierwszym dniu świąt jeździło sanną w sąsiedztwo i jak cudnie iskrzyło się gwiazdami niebo zimowe, gdy wracało się potem do domu późną, szczęśliwą nocą.

„A dlaczego Bozia daje tylko dzieciom w Polsce takie śliczne święta? Czy nas Bozia tutaj nie kocha?" — zapytał blondynek, młodszy zaś prędko dodał: „Wujciu, powiedz".

Narobiłem sobie biedy. Dzieci nie można zostawiać bez odpowiedzi — bo będą pytać bez końca. Musiałem więc jakoś ratować autorytet Władcy Świata w oczach moich młodocianych słucha-

(Dokończenie na str. 14)



WYPRAWA MAŁEJ SU MEI

Napisał Marek Derby
Tłumaczył W. G.

RYSZARD BROWN zciągnął gumowe rękawiczki i przestał być chirurgiem, bo skończył swe dzieło. Znowu stał się człowiekiem, a „przypadek" na stole, z raną od kuli w plecach, stał się... kobietą? Nie, nie kobietą, ale czymś więcej niż dzieckiem. Dzieckiem cudownie wahającym się, zanim przestąpi próg kobiecości.

Siostra operacyjna opudrowała penicyliną małą ranę, którą zostawiła kula wychodząc nad prawą, młodą piersią, i przy pomocy pielęgniarki - Chinki zręcznie i umiejętnie rozpoczęła bandażowanie. Zobaczyła szlachetne, szare oczy chirurga, wpatrujące się w twarz nieprzytomnej, i powiedziała:

— Młoda — na takie rzeczy.

Skinął głową, ciągle wpatrzony w doskonałość kremowo-miodowej skóry oraz ukośne, chińskie oczy i brwi.

— Postrzelili ją w rzece. Do brzegu miała jeszcze tylko kilka metrów.

Wzdrygnął się, kiedy sobie wyobraził ciemność i zimną rzekę Szam Czun, która tutaj stanowiła granicę między Chinami a Hongkongiem. Zimną rzekę i alarm, rozbrzmiewający z posterunku policji, żołnierzy, strzelających w świetle gwiazd, i dziewczynę, czołgającą się na brzeg, chroniącą się w bambusowym lasku, gdzie brytyjski patrol znalazł ją o świcie.

— Sama była? — zapytała siostra.

— O ile nam wiadomo, tak.

Oczy siostry i doktora spotkały się. Siostra kazała Chince przynieść drugą parę okularów z pokoju. Kiedy drzwi sali operacyjnej zamknęły się, zapytała:

— A co z tym? — i uniosła lewe ramię nieprzytomnej.

Na wewnętrznej stronie ramienia przylepiona była kawałkiem leukoplastru niewielka tulejka, zapakowana w natłuszczoną skórę.

— Może lepiej byłoby, gdyby pan tym się na razie zaopiekował — powiedziała.

Brwi chirurga uniosły się.

— Agentka? W tym wieku?

Westchnął poprzez maskę: jeżeli nie to, coś równie rozpaczliwego musiało ją pchnąć do powzięcia takiego ryzyka.

— Nie mam nic przeciwko A Jin — powiedziała siostra, głową wskazując w stronę drzwi, którymi wyszła jej asystentka — ale nie sądzę, by wszyscy wrogowie tej dziewczyny znajdowali się po tamtej stronie granicy. Jakiś może być tu, w szpitalu...

Ryszard Brown zabrał mały cylinderek, który mu siostra dała, w ubieralni włożył go do kieszeni marynarki. Kiedy zrzucił maskę, cała jego twarz, a była to zwyczajna, cierpliwa, brązowa twarz, wyrażała zafrasowanie.

Przebrawszy się wyszedł zaraz na taras, na papierosa. Stał tam, aż papierosa skończył, wpatrując się w niebieskie wzgórza Chin, oddalone zaledwie o parę mil. O parę mil, lecz od tej małej placówki Zachodu wzgórza oddzielone były nie tylko granicą geograficzną, ale także ponurymi granicami ignorancji, niezrozumienia i nienawiści.

Tam, gdzieś w olbrzymim kraju z tragiczną historią, był dom małej Su Mei. Takie imię podała w jedynej chwili świadomości, przed operacją, w celu zbadania i wyczyszczenia brzydkiej rany; rana ta mogła zabić w ciągu godziny, gdyby kula przeszła o centymetr niżej. I Su Mei opuściła dom i ryzykowała śmierć, żeby dostać się do tej maleńkiej kolonii brytyjskiej. Po co? Żeby uciec? Żeby przynieść ten tajemniczy przedmiocik, znajdujący się teraz w jego kieszeni?

Chciał wiedzieć.

Przez moment wahał się, z przyjemnością wdychając aromat ogródka po jałowym zaduchu sali operacyjnej. Aromat wydawały głównie delikatnie czerwone róże, którym siostra przełożona poświęcała tyle czułości. Rozkwitły teraz i ich woń



— Zaraz poniżej mostu puszczałyśmy łódki z papieru.

była snem o domu. Potem wyjął tulejkę, zdjął natłuszczone opakowanie i rozwinął zawartość.

Była to wstęga czerwonego jedwabiu, na dwa cale szeroka i jard długa, na żółto haftowana, z długim, chińskim napisem. Po roku pracy w kolonii nauczył się nieco po chińsku, ale napisu odczytać nie mógł, więc rzuciwszy nań okiem zwinął taśmę, z powrotem zapakował i włożył do portfelu.

Potem miał jeszcze dużo pracy i zapomniał o Su Mei i jej sekrecie, aż późnym popołudniem spotkał w drzwiach męskiego oddziału siostrę operacyjną.

— To dziecko, które postrzelili ostatniej nocy — powiedziała — zauważyło brak zawiniątka na ramieniu. Teraz się piekli w oddziale dziecięcym. Może by pan z nią porozmawiał. Zobaczy pan, że zupełnie dobrze mówi po angielsku.

Poszedł do zalanej słońcem sali i odszukał jej łóżko. Wpatrywały się w niego oczy o kształcie listków migdału, rozgorączkowane i zrozpaczone.

— Co się tu dzieje? — zapytał tonem, który jego córka zrozumiałaby natychmiast.

— Czy pan jest tym doktorem, który mi wyjął kulę? — Jej angielszczyzna, jak powiedziała siostra, była całkiem dobra, ale znaczył ją niezwykły akcencik.

— Kula wyjęła się sama — powiedział. — Przeszła na wylot. Ja tylko wyczyściłem dziurę, którą zrobiła.

Odpowiedziała z powagą:

— Zatem muszę panu podziękować. — I zaraz jej głos i wzrok zaostrzyły się. — Ale pan mi coś ukradł. Tak mi powiedziała gruba siostra.

Wyjął portfel.

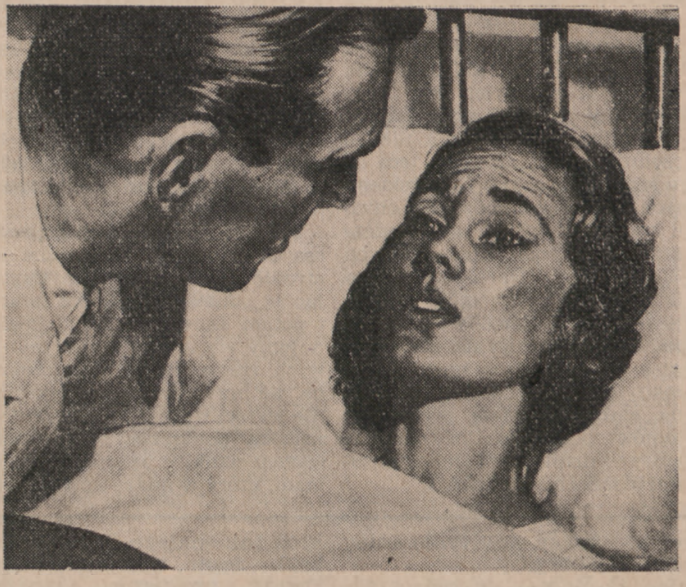
— Przechowywałem to dla ciebie. — Podał jej tulejkę.

Piękne, szczere i bardzo skośne oczy napełniły się łzami.

— Proszę o przebaczenie— powiedziała pokornie, zadrżawszy pod wpływem jakiegoś silnego uczucia. Tulejkę szybko ukryła.

Ryszard Brown usiadł na jej łóżku, podczas gdy pozostałe dzieci w sali przypatrywały mu się uważnie. Biedactwo potrzebowało spokoju. Spokoju i snu. Trzeba oderwać ją od tych uczuć, które spętały ją w węzły. Na próbę zapytał:

— Ciekawe, gdzie się tak dobrze nauczyłaś po angielsku?



— Musi mi pan pomóc, bo ja tutaj nie mam przyjaciół.

— Od siostry Róży — odparła i od razu odczuł, że napięcie zmalało, jak gdyby imię siostry Róży symbolizowało spokój i pewność.

— Siostra Róża nas nauczyła.

— Kogo? Ciebie i twoje siostry?

— Nie mam sióstr ani braci, ani matki, ani ojca — powiedziała. — Nikt z nas w sierocińcu nie ma rodziny. I właśnie dlatego opiekowały się nami siostry.

— Siostry Angielki?

— Angielki i Amerykanki i Włoszki. Siostra Róża była Amerykanką, ale urodziła się we Włoszech.

— I ona was uczyła po angielsku...

— Kiedy jeszcze byłyśmy małe. Ona uczyła tylko najmniejsze. Nie należała do tych najbardziej uczonych sióstr. Po prostu opiekowała się nami, gdy jeszcze byłyśmy za małe, żeby samodzielnie odrabiać lekcje, a potem uczyła nas szycia.

Działało. Uspakajała się z każdym słowem. Powiedział:

— Zdaje mi, że bardzo lubiłyście siostrę Różę.

— Wszyscy ją bardzo lubili. Tak naprawdę to nie miała na imię „Róża". Miała długie, włoskie imię, zbyt trudne do wymówienia dla nas, gdy jeszcze byłyśmy małe, a matka przełożona nazywała ją siostrą Różą dlatego, bo tak bardzo kochała róże, i to było łatwiej spamiętać, i tak ją nazywałyśmy.

— To wy macie róże w Chinach? — zapytał.

— W naszej prowincji nie mamy — powiedziała. — Ale siostra Róża sadziła je po całym ogrodzie i jeden krzak dawał mnóstwo kwiatów, ten krzak koło mostu Papierowych Łódek.

Pozwalał jej gaworzyć, słuchając tylko jednym uchem, ale utrzymując na twarzy wyraz przyjemnego zaciekawienia i uwagi.

— Most tak się nazywał, bo zaraz poniżej niego puszczałyśmy łódki z papieru, kiedy były wyścigi. Wyścigi były pomysłem siostry Róży. Z papieru robiła łódki i na każdej malowała obrazek, rybę albo kwiat lotosu, albo półksiężyc, albo oko. I zwycięzca zawsze dostawał cukierek, albo papierowy kapelusz, albo obrazek z aniołkami. A ta, której łódka przyjechała ostatnia, musiała zawsze coś zrobić, wypielić ścieżkę, albo może pozbierać wszystkie zabawki.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się.

— Ale wie pan, siostra Róża zawsze oszukiwała!

Uważał na jej słowa dostatecznie, by się tym nie zgorszyć.

— I nikt, oprócz mnie, tego nie wykrył. To było tak: zawsze tak robiła, że ta, której łódka wygrała, była akurat smutna, albo przeżyła jakiś zawód, albo może właśnie miała urodziny tego dnia. A ta, która przegrała, to prawie zawsze była jakaś dziewczynka samolubna, albo niegrzeczna.

Ziewnęła i na chwilę przymknęła oczy.

— Widzi pan — młody głos był śpiący — przy moście, w miejscu, gdzie zaczynałyśmy wyścigi, była maleńka wysepka, właściwie to tylko kamień. I z jednej strony kamienia prąd był bardzo silny, a z drugiej słabiutki. Łódka, która ruszyła z lewej strony wysepki, zawsze wygrywała, a która ruszyła z prawej strony, prawie zawsze do mety dopływała ostatnia. Rozumie pan? A siostra Róża nas ustawiała na starcie, więc na miejsce wygrywające i przegrywające mogła wybrać, kogo chciała. I tak przegrywałyśmy, kiedy byłyśmy złe, a wygrywałyśmy, kiedy było nam smutno, albo kiedy miałyśmy urodziny. Siostra Róża strasznie lubiła urodziny.

Po sekundzie zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna oczekiwała jego komentarza.

— To było bardzo ładnie z jej strony, prawda? — powiedział. Uśmiechnęła się śpiąco, napięcie zniknęło. — I dziękuję ci, żeś mi to wszystko opowiedziała. Ale teraz muszę iść z powrotem do pracy, a ty powinnaś pospać.

Zapytała:

— Czy jutro będzie mi lepiej?

— O wiele lepiej, jeżeli będziesz spała. Teraz zasłonię ci okno i zaśniesz jak suseł.

— Nie wiem, co to jest suseł.

— To właśnie tak będziesz spała.

Potem zapomniał o małej Su Mei aż do następnego ranka, kiedy jechał do szpitala. Wkrótce po zjechaniu z promu, który przewiózł go z wyspy, mignęła mu w tłumie, na chodniku, blada, piękna twarz. Nie poznał jej. Dopiero, gdy skręcił w szpitalną bramę, przypomniał sobie, kogo mu ta twarz przypominała. I gdy tylko znalazł się w budynku, tęga siostra operacyjna przyniosła mu wiadomość:

— Uciekła. Ta, co ją przestrzelili na wylot. Powiedziała siostrze Travers, że pan mówił, iż będzie jej dziś lepiej, więc odchodzi, bo ma coś ważnego do załatwienia. Siostra była bardzo zajęta, więc jej odpowiedziała, żeby nie gadała głupstw, a potem zobaczyła, że łóżko jest puste, a dziewczynka i jej ubranie zniknęły. Ostatni raz widziano ją przed godziną.

— Później, siostro. Po drodze do szpitala widziałem ją w Koulun.

Dzień lekarza był tak wypełniony zajęciami, że mógł on uciekinierce poświęcić zaledwie parę chwil troski i kilka razy zapytać się, czy jej nie odnaleziono. Przepowiedział, że zemdleje w ciągu paru godzin, ale kiedy wieczorem wracał do swego domu, nie było jeszcze wieści ani od policji, ani z innych szpitali. Gdy skręcał koło rogu, przy którym ją spostrzegł tego ranka, pomyślał sobie nawet, że mogła umrzeć, niezauważona wśród kotłującego się tłumu Chińczyków, jak tysiące ich umierało każdego dnia we własnym kraju, gdzie od wieków ludzkie życie było mniej warte niż pył. Tylko w tym małym,

(Dokończenie na str. 11)



KSIĄDZ PROBOSZCZ I TOMCIO

PARAFIA była uboga. Kościół, ksiądz, organista i wygon przed frontem budynku. Tym większa była pycha i radość, gdy ksiądz przywiózł nowe figurki do szopki. Organista nie mógł się ich nachwalić, a dzieci nie mogły się napatrzyć takie to było piękne i wół i osioł i Rodzina Najświętsza i najpiękniejsze na świecie, grubiutkie, różowe Dzieciątko. Tym też było większe nieszczęście, gdy Dzieciątko na Trzeci Dzień świąt znikło ze żłobka.

Słońce świeciło, śnieg się bielił, a ksiądz aż ręce łamał, bo nawet nie wiedział kiedy to się stało — wczoraj wieczorem, czy przed pierwszą Mszą? Organista zzieleniał i wzywał pomsty Bożej.

Ksiądz wyszedł smutny z Sumą do ołtarza, gdyż i wydatek był duży i strata i wstyd i grzech. Grzech przede wszystkim, co to mówić, kradzież w kościele, w Domu Bożym. A tak się nagadał w adwencie, tak nauczał, tak tłumaczył, że święta to nie groch z kapustą, nie szczupak, nie choinka, nawet nie kolędy lub szopka, tylko Bóg, sam Bóg, który przychodzi do ludzi, do ich serc czysto wymiecionych z grzechu. A więc spowiedź przede wszystkim, żal serdeczny, skrucha i Komunia św. na Pasterkę. A tu właśnie żłobek pusty! Ktoś z wiernych, z parafian ukradł Dzieciątko!

Suma ciągnęła się długo i smutno. Organista fałszował jak nigdy. Wszyscy zebrani zamiast się modlić wciąż spoglądali ze współczuciem to na księdza, to na osieroconą Św. Rodzinę.

Po nabożeństwie wysypali się wierni na ośnieżony wygon, ale zdumienie zatamowało potok ludzki. Tłum stanął, długo patrzył i milczał. Po śniegu szorował dzielnie Tomcio, ten od Kowalskich. Na ślicznych, nowiutkich saneczkach wiózł otulone w kocyki Boże Dziecię. Tomcio się pocił, kocyki spadały, Dzieciątko leżało niewygodnie i wznosiło do góry odgięty paluszek prawej rączki.

Od tłumu oderwało się nagle trzy osoby: czerwona ze wstydu i gniewu matka, siny ze świętego oburzenia organista i sam ksiądz proboszcz. Gdy dwoje pierwszych dopadło do saneczek, ksiądz przyśpieszył kroku i zasłonił dziecko. Przed duchowną osobą opadła ręka organisty, zamknęły się rozdarte do krzyku usta matki. Ksiądz pochylił się, wyjął ostrożnie Boże Dziecię i podał organiście, Tomcia wziął za rękę i zawrócił na plebanię.

Tłum zafalował — dobrze mu tak!

Tomcio dreptał niefrasobliwie, trzymając mocno sznur od sanek. Przez głowę księdza przelatywały myśli — co mu powiem, co ja mu powiem, jak go ukarzę, dobrze, — że uchroniłem przed gniewem matki, przecież on mały, bardzo jeszcze mały...

— Zostaw te sanki, moje dziecko, w sieni i chodź ze mną do pokoju.

Po chwili siedział Tomcio grzecznie na krzesełku, spoglądając na matkę, która tkwiła przy drzwiach ponura i groźna.

— Dlaczegoś, Tomciu, zabrał z kościoła figurę Dzieciątka Bożego? — zapytał ksiądz.

— Jezuska?

— Tak, małego Jezusa.

— Bo ja Mu jeszcze przed świętami obiecałem, że jak mi uprosi u Bozi sanki na gwiazdkę, to go nimi powiozę na spacer, gdy tylko śnieg będzie dobry.

— O, Boże — jęknęła matka.

— Aha — mruknął ksiądz — to dobrze, bardzo dobrze, zawsze trzeba dotrzymywać danego słowa, tylko widzisz, moje dziecko, moje dziecko...

— Ksiądz szukał odpowiednich słów, szukał, aż znalazł:

— Czyś ty, biorąc Dzieciątko ze żłobka, zapytał Matkę Jego Najświętszą o pozwolenie? O pozwolenie, mówię. Przecież to Jej dziecko, małe dziecko, a tu śnieg i zima...

I ksiądz, otrząsnąwszy się z przygnębienia, tak prosto, tak zrozumiale przemówił do Tomcia, tak mu jasno przedstawił zasady posłuszeństwa względem starszych, tak mocno podkreślił prawa rodziców do dziecka, tak żywo odmalował niepokój jego własnej matki, Tomciowej, bo co by ona powiedziała, gdyby ktoś tak małego Tomcia zabrał z domu, z łóżeczka? Tak ksiądz proboszcz skruszył serce lekkomyślnego grzesznika, że Tomcio płakał, chlipał razem z matką, powtarzając w kółko: — Już nie będę, nigdy nie będę, ja myślałem...

Z tego opowiadanka o zdarzeniu, które kiedyś miało miejsce, wypływają dwa morały jasne jak dzień. Pierwszy dla dzieci, że zawsze bezpieczniej szukać rady starszych, aby nie być w rozbieżności z ich prawami, drugi dla dorosłych, że nigdy nie należy sądzić i karać dzieci pod wpływem afektu. I tłum bowiem i organista, nawet matka Tomcia gotowi byli działać w zaślepieniu, w gniewie, w pasji. Ksiądz proboszcz, ksiądz jeden w swym prawdziwym ojcostwie znalazł właściwą drogę do małego parafianina.

m.m.

Książka wciąż młoda po 50 latach

WZNOWIENIE „MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA”

„Jestem Polakiem — więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka.“

Roman Dmowski — „Myśli nowoczesnego Polaka“

Pamiętam jak dziś: w grudniu roku 1939 Niemcy przyszli wyrzucać nas z mieszkania w jednym z miasteczek wielkopolskich. Na spakowanie jednej walizeczki zostawili godzinę czasu. Znalazłszy się wraz z matką na bruku, ulokowaliśmy się chwilowo u sąsiadów i z ich okna, po przeciwnej stronie ulicy, oglądaliśmy dzieło zniszczenia dokonywane w naszym domu przez rabusiów. Na stos na środku pokoju szły książki z półek i szafki bibliotecznej. Wszystkie. Zostawiono tylko zbiorowe wydania dzieł Szekspira, gdyż było to wydanie w języku niemieckim a rabusie nie byli na tyle zorientowani w sprawach literatury, by wiedzieć, że Szekspir nie był bynajmniej Niemcem. Mieli polecenie palić wszystkie książki za wyjątkiem niemieckich, Szekspir więc ocalał. Na stos rzucono wreszcie tomy prac Dmowskiego: piękne, oprawne w czerwone płótno — podobne wyglądem zewnętrznym do obecnych tomów „Biblioteki Polskiej“ — wydanie Gmachowskiego z Częstochowy, ostatnie wydanie przedwojenne, bodaj — o ile dobrze pamiętam — nawet jeszcze nie ukończone w chwili wybuchu wojny. Była wśród tych tomów książeczka najmniejsza objętością, ale chyba najważniejsza treścią — „Myśli nowoczesnego Polaka“.

Nieraz później myślałem o tym, dlaczego w czasie wojny, czy to w Anglii czy na Bliskim Wschodzie, gdzie ukazywało się masę różnych książek i gdy były pieniądze na powódź różnych prac i broszur propagandowych często bez żadnej wartości — nie pomyślano o wydaniu „Myśli“ Dmowskiego. Ukazują się one dziś dopiero, ale może tak właśnie trzeba było, by książeczka ta przyszła do polskiego czytelnika na obczyźnie nie od czynników oficjalnych, lecz od wyznawców myśl Dmowskiego, tych, którzy są młodzi, a w chwili wybuchu wojny byli jeszcze dziećmi — od Koła Młodych Stronnictwa Narodowego w Londynie. To wydanie siódme jest przedrukiem z wydania czwartego z roku 1933, widocznie więc wydania Gmachowskiego z roku 1939 nie zdołano odnaleźć na emigracji. Może wiele tych tomów podzieliło los mojego, który niemieckimi rękoma został wrzucony w ogień.



ROMAN DMOWSKI

„Myśli nowoczesnego Polaka“ wymagają omówienia nie tyle krytycznego, ile historycznego. Książka bowiem ukazała się po raz pierwszy dokładnie przed laty pięćdziesięciu, bo w roku 1903 i na jej temat tyle już napisano krytycznie i apologetycznie, tyle wypowiedziano o niej uwag dodatnich i ujemnych, że można by już teraz z tych uwag zebrać tomy, przekraczające objętością znacznie objętość „Myśli“. Że obecne wydanie doszło do skutku dzięki młodym Polakom, świadczy to o spełnieniu się pragnienia Dmowskiego z przedmowy do wydania pierwszego wydania, by książka znalazła się przede wszystkim w rękach młodzieży polskiej. Że zaś tyle o niej w ciągu lat pięćdziesięciu dyskutowano, tak czasami zawzięcie i gorąco, świadczy, ze Dmowski osiągnął i drugi zamiar wypowiedziany w tej samej przedmowie: nie tyle by czytelnik przyjął jego poglądy, ile żeby wyślał nad poruszonymi w książce sprawami.

Książka bowiem istotnie zmusza do myślenia i nie można jej stronic przebiec szybko. Czytając ją ponownie po kilku latach i potem znowu po kilku dowiadujemy się z niej coraz to nowych rzeczy, dziwiąc się, żeśmy na nie przy poprzedniej lekturze nie zwrócili uwagi. „Myśli“ są książką polityczną, są elementarzem nauki o polityce. Problemem, który w miarę upływu czasu najbardziej pasjonuje ludzi zajmujących się polityką, jest pytanie, w jakim stopniu poglądy Dmowskiego wypowiedziane w tej książce pięćdziesiąt lat temu pozostają i dzisiaj słuszne, w jakim stopniu ten katechizm Polaka można zastosować dzisiaj, nie przecząc zarazem doświadczeniom, jakie życie polityczne w tym okresie czasu przyniosło. Dmowski miał zawsze i ma wciąż w społeczeństwie polskim zarówno najgoręcej oddanych wyznawców, jak najzaciętszych przeciwników. Zamiast słuchać długich i zawiłych argumentacji jednych i drugich, lepiej przeczytać kolejne przedmowy samego Dmowskiego do pierwszych czterech wydań „Myśli“. W chwili ukazywania się wydania piątego Dmowski już nie żył, wydanie szóste ukazało się w Polsce Podziemnej pod okupacją niemiecką, słowo wstępne do wydania siódmego napisał Tadeusz Bielecki. Ale uważna lektura przedmowy Dmowskiego do wydania pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego pozwala nie tylko orzec, czy i w jakim stopniu pierwotne poglądy autora upływ czasu potwierdził lub im zaprzeczył, ale także pozwala z pewnym prawdopodobieństwem sformułować to, co by pewnie Dmowski sam dziś o swej pracy sprzed laty pięćdziesięciu powiedział, gdyby żył.

Literatura polityczna, książki o treści politycznej tym się różnią od literatury powieściowej, prac historycznych czy poezji, że ich wartość czytelnicza jest znacznie krótsza w czasie, gdyż zasady, w pracach politycznych wypowiadane są formułowane na podstawie politycznej sytuacji w świecie w danym momencie, stają się nieaktualne, gdy sytuacja polityczna się zmienia. Powieść mówi o przeżyciach i konfliktach człowieka i pod tym względem nie traci aktualności, gdyż natura ludzka się nie zmienia. Praca historyczna w miarę upływu czasu zyskuje jeszcze a nie traci na aktualności. Poezja ma wieczną wartość jako duchowy obraz epoki. Ale książka polityczna rzadko zawiera coś aktualnego już po kilku latach, wydanie jej zaś ponowne po upływie jednego pokolenia, po latach pięćdziesięciu jest możliwe tylko wówczas, jeśli zawiera ona prócz sformułowań przejściowych, także zasady niezmienne, od których życie polityczne mimo swych rozlicznych zmian i fluktuacji nie może nigdy odbiec.

Gdy ukazywało się czwarte wydanie „Myśli“ Dmowskiego, Dmowski sam — świadom nietrwałości ocen politycznych — podobnie jak przy wydaniach porzednich, obawiał się, czy pierwotny tekst książki nie okaże się anachronizmem. Przecież od roku 1903 do 1933, w ciągu trzydziestu lat w polityce zmieniło się bardzo wiele. I wówczas Dmowski, czytając pierwsze wydanie swej pracy stwierdził „rzecz nieoczekiwaną. Pomimo, że posiadamy własne państwo, w tej książce sprzed laty trzydziestu, z czasów beznadziejnej, jak się wielu ludziom zdawało, niewoli, przeczytałem liczne stroniece dziś żywe, nie tylko z zakresu idei ogólnych, ale i stosunków praktycznych“.

Książka poszła więc w świat niezmieniona. Upłynęło lat dwadzieścia, z nimi nowe ciężkie doświadczenia polityczne, wojna, okupacje i nowa niewola Polski i oto czytelnik polski na emigracji znowu dostaje tę książkę niezmienioną. I znowu można powtórzyć za słowem wstępnym Tadeusza Bieleckiego do obecnego wydania, że w książce tej nie trzeba zmieniać zasadniczych pojęć, podobnie jak Dmowski, który całe życie szukał lepszych sformułowań, pogłębiał swe poglądy, umiał iść naprzód i nie zasklepiać się w przeszłości, zmieniał formy działania, — ale nigdy nie potrzebował zmieniać treści „Myśli nowoczesnego Polaka“.

Czy i dziś, podobnie jak przed pięćdziesięciu laty nie „spotykamy się ze zdaniem, że nowoczesny Polak powinien jak najmniej być Polakiem. Jedni powiadają, że w dzisiejszym wieku praktycznym trzeba myśleć o sobie nie o Polsce, u innych zaś Polska ustępuje miejsca — ludzkości.“? Dmowski nie pisał tej książki „ani dla jednych ani dla drugich“.

Stosunek jednostki do narodu, łączność z pokoleniami przeszłymi i przyszłymi, obowiązki względem ludzkości pojęcie słuszności i krzywdy w stosunkach międzynarodowych nasz charakter narodowy i jego przetwarzanie się, cały rozdział o oszczędności sił i ekspansji, odpowiedzialność ogółu za wypadki polityczne, współzawodnictwo narodów — wszystkie te rozważania z książki Dmowskiego można zastosować z pełną aktualnością do chwili obecnej i co więcej, wciąż sporo można się z nich nauczyć. Bo książka Dmowskiego jest dziełem wychowawczo-politycznym ogólnym, a nie tylko sformułowaniem poglądów własnych twórcy i przywódcy jednego kierunku politycznego.

Upływ czasu potwierdził wszystkie główne myśli Dmowskiego wypowiedziane przed pół wiekiem. Przejścia Kraju w czasie wojny i kolejnych okupacji przyspieszyły znacznie zapoczątkowany przez obóz Dmowskiego proces uświadamiania politycznego wszystkich warstw narodu, a przebieg i wynik drugiej wojny światowej postawiły politykę polską w jej działaniach w wolnym świecie w sytuacji bardzo podbnej do tej, w jakiej walczył Dmowski w okresie pierwszej wojny światowej i na kongresie pokojowym w Wersalu. Zmieniły się może metody walki o byt i przyszłość narodu, ale nie zmieniły się zasady, według których tę walkę toczyć trzeba. Jakże dlatego niedorzeczne są dociekania na temat wartości „systemu Dmowskiego“ dawniej i dziś.

(Dokończenie obok)

MICHAŁ ANIOŁ — CZŁOWIEK I GENIUSZ

EDWARD DŁUGOSZEWSKI

MICHAŁ ANIOŁ — lub, dokładniej, Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni urodził się dnia 16 marca 1475 roku w zubożałej rodzinie florenckiej, pamiętającej jednak czasy dawnej świetności.

Większość Buonarrotich trudniła się od niepamiętnych lat handlem i wymianą pieniędzy. Z rzadka trafiał się między nimi duchowny. Pierwszym i jedynym artystą był Michał Anioł.

Stracił on matkę, gdy miał zaledwie 6 lat i wychowywał się w twardym otoczeniu chciwego, wiecznie niezadowolonego ojca i czterech braci-miernot, którzy wyzyskiwali jego dobroć przez całe życie.

Był bardzo przywiązany do rodziny i opiekował się finansowo ojcem i braćmi, choć nieraz wypominał im gorzko ich chciwość i egoizm. Jego wysiłki i dążenia miały zawsze na celu przywrócenie dawnej powagi i znaczenia rodu Buonarrotich. Pracował ciężko przez całe życie, nic prawie dla siebie nie zatrzymując. Wszystko tonęło w rodzinnej studni bez dna.

MŁODOŚĆ

TALENT Michała Anioła ujawnił się już we wczesnej młodości. Jego ulubionym zajęciem było rysowanie. Rysował, gdzie popadło, za co nieraz brał cięgi od ojca.

Czuły ojczulek, chcąc jak najszybciej ciągnąć korzyści z „niewydarzonego“ potomka, oddał go do „terminu“, do sławnych malarzy florenckich, braci Ghirlandaio. Nauka polegała tutaj, jak zresztą wszędzie w średniowieczu, na możliwie dokładnym kopiowaniu obrazów mistrzów. Malarze i rzeźbiarze w owych czasach uważani byli za rzemieślników i traktowani na równi z nimi; dopiero Michał Anioł i współczesny mu Leonardo da Vinci wywalczyli swoim geniuszem uznanie, jakim cieszyli się np. poeci.

Pewnego dnia, gdy uczniowie biedzili się nad skopiowaniem obrazu jednego z braci Ghirlandaio, Michał Anioł paroma pociągnięciami ołówka poprawił samego mistrza. Ghirlandaio z przykrością stwierdził, że uczeń miał rację i wobec tego poprosił go, ze wszystkimi honorami, o opuszczenie pracowni...

Z kolei znalazł się Michał Anioł w pracowni rzeźbiarza, Bertoldo di Giovanni, który prowadził szkołę w Giardino Mediceo we Florencji. Szkoła ta była wylęgarnią wielu talentów i pozostawała pod opieką Lorenzo di Medici (Wawrzyńca Medyceusza), wielkiego bankiera i rządcy Florencji, zwanego „Wspaniałym“ ze względu na swoje zainteresowanie sztuką i gromadzenie wokół siebie najprzedniejszych artystów i ich dzieł.

NA DWORZE MEDYCEUSZÓW

LORENZO szybko poznał się na geniuszu Michała Anioła, wziął go swego pałacu i traktował na równi ze swymi synami

Na dworze Medyceuszów, gdzie zbierały się najtęższe głowy i najwybitniejsi artyści ówczesnych Włoch, zetknął się Michał Anioł z kulturą klasyczną, z dziełami Platona i Dantego i sam z dużym talentem spróbował swoich sił w poezji.

Michał Anioł był mieszaniną — tak często spotykaną — geniusza i przyziemnego, pełnego wad człowieka. Geniusz na miarę biblijnych proroków, pełen świętego ognia i wizjoner. Człowiek — kłótliwy, arogancki, nieraz poniżający się wobec możnych tego świata. W bójce jeden ze współuczniów złamał mu nos, co odbiło się bardzo boleśnie na jego próżności i było podstawą niejednego — jak byśmy to dzisiaj powiedzieli — kompleksu.

W 1492 roku umarł Lorenzo, a syn i jego następca, Pietro di Medici nie okazywał wielkiego zainteresowania sztuką. W tym czasie Michał Anioł pozostawał pod silnym wpływem płomiennego kaznodziei, dominikanina, Savonaroli. Przepowiedział on karę Bożą na Florencję i kiedy w roku 1494 rozeszła się pogłoska, że zwycięskie wojska francuskie mają splądrować miasto, Michał Anioł opuścił pośpiesznie Florencję.

Po dwuletnich wędrówkach po północnej Italii, Michał Anioł, młodzieniec 21-letni, przybył w czerwcu 1496 po raz pierwszy do Rzymu.

W RZYMIE

RZYM pod koniec XV wieku sprawiał wrażenie miasta biednego i zaniedbanego. Ruiny antyczne służyły całkiem przyziemnym celom. Na Forum Romanum odbywały się świńskie targi, w Colosseum gnieździły się tawerny i stragany, a Termy dawały schronienie złodziejom.

Choć dwór papieski był siedzibą życia intelektualnego, Michał Anioł trzymał się odeń raczej z dala ze względu na swoją przyjaźń i admirację dla Savonaroli, którego oskarżono w Rzymie o herezję. Poza kilkoma drobnymi rzeźbami Michał Anioł wykonał dla francuskiego kardynała de Lagraulas swoje pierwsze arcydzieło: figurę Matki Boskiej z ciałem ukrzyżowanego Chrystusa na rękach — znaną powszechnie pod nazwą „Pietà“. Stoi ona u św. Piotra. Jest to jedyne zachowane do dziś dzieło z „podpisem“ Michała Anioła. Słysząc, że rzeźbę jego przypisują innemu artyście, wykuł on potajemnie, w nocy, swoje nazwisko na rzeźbie.

W roku 1501 Michał Anioł wraca ponownie do Florencji, gdzie w świecie artystycznym panuje niepodzielnie Leonardo da Vinci. Wywiązuje się między nimi zawzięta rywalizacja, w której z właściwą im namiętnością biorą udział wszyscy florentczycy, dzieląc się na dwa, skaczące sobie do oczu obozy. Jakby im tego było za mało, w roku 1504 zjawia się trzeci rywal — Rafael.

Najwybitniejszym dziełem Michała Anioła z tego okresu jest marmurowa statua Dawida, gotującego się do walki z Goliatem. Perfekcja i piękno „Dawida“ przemawiają dzisiaj równie silnie, jak i 450 lat temu. Każdy mięsień, każde ścięgno zdają się drgać życiem i wolą walki. Ze skupionej, napiętej twarzy przemawia determinacja i pewność zwycięstwa.

HISTORIA GROBOWCA JULIUSZA II

KIEDY na tronie papieskim zasiadł Juliusz II, wezwał on Michała Anioła do Rzymu dla wykonania swego grobowca. Juliusz miał ambitne plany. Zburzył stary kościół św. Piotra i polecił na jego miejsce wybudować nową wspaniałą świątynię. Grobowiec miał być jedną z monumentalnych ozdób bazyliki.

Michał Anioł zabrał się do pracy z zapałem i rozmachem. Grobowiec miał być olbrzymim dziełem — 40 figur świętych i proroków dokoła papieskiego katafalku. Artysta udał się do Karrary, żeby wybrać i sprowadzić marmur, jednakże, kiedy powrócił do Rzymu, papież odmówił pokrycia kosztów. Krewki Michał Anioł, nie namyślając się wiele, wyrżnął soczystą epistołę do papieża, później zaś, obawiając się skutków, umknął z Rzymu. Papież w gniewie zażądał od Florencji wydania rzeźbiarza. Po dłuższych ceregielach Juliusz obiecał mu przebaczenie pod warunkiem, że wróci do Rzymu i dokończy rozpoczętej pracy.

Tak się zaczęła dziwna przyjaźń Juliusza II z Michałem Aniołem, która przetrwała długie lata, mimo wielu sprzeczek i wybuchów temperamentu.

W rezultacie Michał Anioł nie dokończył grobowca, natomiast dostał rozkaz wykonania fresków na suficie kaplicy Sykstyńskiej. Formę i temat zostawił papież do uznania artysty. Michał Anioł protestował, twierdząc, że jego zawodem jest rzeźbiarstwo, ale oczywiście na nic się to nie zdało.

PRACA NAD KAPLICĄ SYKSTYŃSKĄ

PRZEZ następne cztery lata Michał Anioł był praktycznie „więźniem Watykanu“. Najpierw papież trzymał go prawie pod kluczem, chcąc jak najszybciej ujrzeć wynik jego pracy, później zaś twórczy zapał kazał mu zapomnieć o świecie, o śnie i o jedzeniu.

Na wysokim rusztowaniu, leżąc na plecach, malował niezmordowanie. Stworzył dzieło o wstrząsającej wielkości, pełne mistycznej mocy i wyrazu. Każda z 343 głównych figur jest charakterem samym w sobie, każda ma głębię ekspresji i plastyczność rzeźby.

Sufit kaplicy sykstyńskiej ma formę sklepienia o spłaszczonym łuku, z szeregiem łukowych wcięć nad oknami, z krzywiznami w trzech kierunkach, słowem obiekt niezwykle trudny dla malarza, którego geniusz wykorzystał wszystkie te trudności dla wzmocnienia i podkreślenia swej kompozycji.

Główną, najwyższą i najbardziej płaską część sufitu poświęcił Michał Anioł Bogu i Jego Dziełu. Zaczynając od Rozdzielenia Żywiołów, poprzez stworzenie Adama i Ewy, wypędzenie z Raju, dochodzi do ofiary Noego, do Potopu i wreszcie — upicia się winem przez Noego. Dalej, po obu stronach widnieją postacie siedmiu proroków Starego Testamentu i pięciu Sybil (wróżek antycznych). Wewnątrz łuków bocznych umieścił Michał Anioł dalsze historie biblijne: Dawida i Goliata, Judyty i Holofernesa, Jakuba i Józefa, Dawida i Salomona i cały szereg innych.



INNE DZIEŁA

W CIĄGU swego długiego żywota — umarł mając lat 89 — stworzył Michał Anioł jeszcze wiele nieśmiertelnych dzieł. Dość wspomnieć „Mojżesza“ — fragment niedokończonego grobowca Juliusza II, grobowiec Medyceuszów, „Sąd Ostateczny“ w tejże samej kaplicy Sykstyńskiej.

Ukoronowaniem jednak jego kariery i objawieniem jeszcze jednego geniuszu tego tytana Renesansu było dokończenie bazyliki św. Piotra. Rozpoczęta 50 lat temu ciągle jeszcze niewykończona, czekała na śmiałka, który odważyłby się na zamknięcie potężnej budowli największą na świecie kopułą.

Mimo powątpiewania architektów, plan Michała Anioła przyoblekał się w kształt. Kopuła rosła, przecząc prawom ciężkości, potężna w swym ogromie, a jednak lekka i strzelista. Zadanie nie było łatwe i zajęło wiele lat. Przez ten czas Michał Anioł zdążył zapełnić Rzym owocami swego geniuszu — budując kościoły i pałace, mosty i muzea.

Styl jego dominował nad Wiecznym Miastem. Kiedy zaś z uroczyście otwartej bazyliki Piotrowej zabrzmiały organy i rozdźwięczały się chóry, głosząc chwałę Bożą — mógł stojący u schyłku swego życia Michał Anioł powiedzieć: Daru Twego nie zmarnowałem, Panie, alem go użył na Twoją chwałę.

Jakże płytkie są frazesy o „anachronizmie“ myśli Dmowskiego i o tym, że to już „nie na dziś“, że to „historia“, że to „nieaktualne“.

W mroźny styczniowy poranek roku 1933 do Warszawy ciągnęły z całej Polski nieprzerwane sznury specjalnych pociągów, z których dziesiątki tysięcy Polaków szło odprowadzić Romana Dmowskiego na wieczny spoczynek. Szły tłumy, kobiety i mężczyźni, starcy, młodzież i dzieci. Szli robotnicy, chłopi i młodzież akademicka, szły te wszystkie pokolenia i wszystkie stany, które Dmowski jednoczył w uświadomiony politycznie, walczący o swe losy i za nie odpowiedzialny naród. Nie pomieściły się te tłumy w katedrze św. Jana, później zburzonej, a obecnie znów podźwigniętej z gruzów, wypełniły Plac Zamkowy i długą trasą poprzez most Kierbedzia aż do ubogiego cmentarza na Bródnie. Przy suchym odgłosie werbli przedefilowały przed trumną Dmowskiego zastępy tych, którzy nie zamykali serc i umysłów na naukę wielkiego wychowawcy narodu. A cały naród łączył się z nimi w głębokiej żałobie po zgonie wielkiego Polaka.

I dzięki młodym, którzy w pięćdziesiąt lat po pojawieniu się pracy Dmowskiego oddają ją znowu w ręce Polaka na emigracji, Dmowski dalej służy narodowi w tych okropnych czasach, jakie pokolenia po jego śmierci przeżywają obecnie.

Tadeusz Borowicz

Kolędnicy

Pierwszy znak o nich dawał
psa zjadliwy szczek —
(pies nazywał się Asan,
podczas wojny zdechł...)
Potem dźwięczał wzdłuż domu
twardy, chrupki śnieg,
póki wreszcie pod okien błoną zamarzniętą
nie zagrzmiała, runęła ciemna noc — kolędą.
Pod oknem kufer duży, dudniący jak grzyb, —
łomot białej, składanej, wąskiej okiennicy
i my — my wszyscy mali przypadli do szyb. —
Za szybą kolędnicy!
Jakże jakoś odświętnie,
Jakże jakoś — nowo!
Fartuszek przy fartuszku
i głowa nad głową...
— A tam śpiewem i mrozem dymią twarze obce
i tak złoto i cudnie
i tak jasno w szopce
i tak jasno i cudnie
i tak złoto w nas!
— Za nami pokój bezpieczny znajomy i nasz —
i jeszcze na wszystko za wcześnie
i jeszcze na wszystko — czas!

Beata Obertyńska

Teraz proszę Państwa
Podnoszę kurtynę,
By uraczyć miłych gości
Cacanym Londynem:



Mówią, tu, że jest dochtór
Nad inne dochtory,
Któren tymczasowo
Sadzi pomidory.



Trzeba go więc wezwać,
Może nas uleczy —
Bo przewlekły rozstrój
To stan niebezpieczny.

Wysłano depeszę
A w tejże depeszy:
Kochany dochtorze
Niech pan tu pospieszy.

Przyleciał, postukał,
Obejrzał pod światło
I pomyślał sobie:
Czy ratować warto?

Boć nie chodzi o kurację
Ale o to przecie,
Że nie wszyscy są potrzebni
W politycznym świecie.

* * *

Szopka nie sądzi
Szopka się śmieje
W szopce na niby
W szopce się dzieje

* * *

Paniom pierwszeństwo:
Słówkiem o pani
Szopkę stołeczną
Autor dziś zagai:



Wiadomo, Sanacja
To jest stara baba,
O której poprostu
Mówić nie wypada.

Jak to brzydko, że dzisiaj
Jej syny i wnuki
Nie przyznają się do niej,
Nie pomni nauki.

Lecz są święta, Kochani,
Choćby dziś rodzina
O mamusi i babci
Niech nie zapomina.

Niech odwiedzi staruszkę
Rączki wycałuje
I dawnych czasów
Razem pożałuje.

Więc proszę po kolei:
Niech się nie wymiga
Ekipa starszych panów
Która zwie się Liga.



(Wchodzą starsi panowie ze śpiewem):

Nie chcemy już od was uznania
Za raid do Kut,
Żołnierski trud!

Skończyły się dni wyciskania
Rodaków kies,
A niech to pies!

Bo my srebrna brygada
Schodzimy na dziada
Nasz los —
To pusty trzos, to pusty trzos!

(Kogo ja widzę, pan wojewoda, pan generał! Panie wojewodo, może pan przemówi kilka słów do publiczności. Proszę Państwa, pan wojewoda Grażynka:)

Ile ja panaprawiałem,
No i nic z tego nie miałem:
Wszystko się w rękach rozchodzi
I od nowa trzeba codzień.

Trzeba co dnia nowe łaty
Bo mi dziury robią B r a t y
No i cała moja L i g a
Może rozleść się w trymiga.

(a teraz brat generał biskup mahatma Teozofowicz Yogarzewski):

Spowiednika mi nie trzeba,
I tak pójdę wprost do nieba,
Bo ja wodę mam z Gangesa
A ta woda truje biesa.

I mahatma
Choć nagmatwa,
Prosto z wanny
Do Nirwanny —
Siuuup!

(idźmy dalej, proszę Państwa)

Teraz K l u b S p o ł e c z n y
Owi „społecznicy"



NAPISAŁ S. SĘP
Ilustrował J. FACZYŃSKI

SZOPKA POLITYCZNA

KRAKOWIACZEK

Płacze niebo, płacze,
Płacze w tym Londynie,
Ale słonko wzejdzie
I wieczór przeminie.

Nierychliwy Pan Bóg,
Ale sprawiedliwy,
Wrócimy do Polski,
Choć niejeden siwy.

Dlatego, Kochani,
Wznieśmy w górę uszy,
Niechaj się serduszko
Żwawiej w nas poruszy.

Szopkę sobie zrobim
Z różnych ważnych gości.
Jak kto mądry przecie,
To się nie pozłości.

Niech najpierw na scenie
Tatusie i mamy
Ze swymi synkami
Dziarsko pójdą w tany.

Bo gdy tata z mamą
Synka zaniedbają,
Takiej to pociechy
Wnet się doczekają.

Earlskorciczek ci ja,
Earlskorciszek młody,
Polish tańcowanie,
To jest moje hobby.

Po polsku ja gadam
Po polsku ja śpiewam,
Tylko experiensu
Ja dobrego nie mam.

Earlskorciczek ci ja,
Earlskorcik nielada,
Tata po angielski
W domu ze mną gada.

Po polski ja mówie,
Po polski ja śpiewam,
Ale co to Polska,
Ja pojęcia nie mam.

Którzy w Polsce nie puszczali
Maminej spódnicy.



(wchodzą społecznicy ze śpiewem, na nutę K a m i e ń n a k a m i e n i u)

Jestem kombatantem
Czyliż mnie nie znacie?
Skakałem, skakałem przy Sławoju tacie,
Skakałem, skakałem przy Sławoju tacie!

Teraz w kombatantach
Sobie prezesuję
I jakieś wybory chyba przygotuję,
I jakieś wybory chyba przygotuję!

Jestem kombatantem
Z pierwszej linii boju,
Walczyłem, walczyłem, piórem przy Sławoju,
Walczyłem, walczyłem, piórem przy Sławoju!

(społecznicy dziarskim krokiem przechodzą przez scenę i pośpiesznie znikają za kulisami)

Teraz Ty, pieszczon Berezą
Kochaneńki C a c i e
Nie zapomnij, że macocha
Z wilią czeka na Cię.





(wchodzi pan redaktor wśród spontanicznych oklasków jednego z księciów panów. Zaraz nam coś mądrego powie)

Z moich artykułów zawile wynika,
Iż rzeczą zawiłą bywa polityka
Nothing for nothing, jak mówią Anglicy,
Mówiąc nawiasem, dobrzy politycy.

Więc przykładowo, zysk to oczywisty
Niemcom ciut oddać od Odry do Wisły,
To jest konieczne, polityka inna
Nie przywróci nam nigdy Żółtupia i Wilna.

W sprawach zaś wewnętrznych uważam rozbicie
Za coś, co działa dla mnie wyśmienicie
Na tej płaszczyźnie choć to jestem Catem
Spotkam się z każdym kielnią chrzczonym bratem
I co tu gadać, robię co mogę,
By zjednoczeniu podstawić nogę.

(kto tu jeszcze z rodziny?)

No, a wnuczki!...
Czy doprawdy nie macie już wstydu?
Nie odwiedzą w święta babci
Milusińscy z N i d u?

(wbiegają mazurowym krokiem wnuczęta)



Dziś, dziś, dziś, za kominem
Tańczy babcia ze swym synem,
Tańczy babcia ze swym wnukiem
Przypomina mu naukę.

Nidunidu Nidunidu,
Nie robimy babci wstydu!

Radarada Radarada,
Gdzie tu najlepsza posada?

Ratatata, Ratatata,
Hameryka jest bogata!

I tam i tu ituitu
Nie brak nam wnuczętom sprytu!

(Babciu moja kochana,
Babciu moja miła
Czyś rada, że rodzinka
Dziś cię odwiedziła?)

(teraz zostawmy babcię w spokoju i zaśpiewajmy chórem piosenkę. Proszę Państwa, na nutę K o ł o f o n t a n n y):

Żyła panienka
Dobrze spasiona,
We wnętrzu biała,
Z wierzchu różowa.

Żyłaby sobie
W zdrowiu i dalej
Żeby ją štucznie
Wciąż odżywiali.

Razu jednego
Stała się bieda,
I coś tam pękło
Tam, gdzie nie trzeba.

Co teraz będzie
Biedna dzieweczko,
Gdy się skończyło
To štuczne mleczko.

Co teraz będzie
Ty moja śliczna
Ty moja rado
Ty p o l i t y c z n a.

(Zaprosimy teraz wychowankę tej biednej panienki, panią Obwiepolską. Pani Obwiepolska ma głos:)

Sorry jestem — tej jesieni
Mówię rzadko i to z chrypką
„Głos", mój trochę się przemienił.
Bo mówiłem coś za szybko.

Dziś przy narodowych świętach
Przewin bliźnim nie pamiętam
Więc masonom, że masony
Albo, że ktoś rozwiedziony.

Innym znowu, że frankiści
Choć frankiści-azjatyści
(zczasem w Polsce takie winy
Skrupulatnie rozpatrzymy)
Teraz chodźcie z moim Tadkiem
Potraktować się opłatkiem.

Tadziu! Tadziu! Wstań od stoła
Publiczności ciebie woła!



(wschodzi atletyczny Tadzio. — Chór śpiewa:)

Nie mamy nic forsy i biedny nasz strój,
Nie mamy banknotów ni złota,

My z pustą kieszenią idziemy na bój,
Dychota, dychota, niecnota.

Masierują chłopcy, masierują
Łezki w oczkach błyszczą, nędzny strój,
A nad nimi wszyscy się litują,
Że z pustą kieszenią idą w bój.

(Publiczność podchodzi z opłatkami. Właśnie szlochając ze wzruszenia zbliżają się do Tadzia przedstawicele młodzieży radykalno-narodowej w osobach: dra Bormana i Leszka Cyrkiena. Chór podejmuje Hymn Młodych:)

Po tej rodzinnej uroczystości naszej emigracji trzeba oddać cześć P r a c y, ponieważ panowie prezesi Stronnictw Pracy są bardzo zapracowani, nie możemy ich zaprosić na scenę. Na ich cześć chór teraz odśpiewa piosenkę pod tytułem P o l s k a p r a c y. (Na melodię: C z y p o z w o l i p a n n a K r y s i a):

Wśród narodów pracowitych
Pierwsi są Polacy,
Mają bowiem na uchodźstwie
Tuzin Partii Pracy.

Pracujemy bardzo pilnie,
Pracujemy wiele,
A zaś wszystkie wolne chwile
Spędzamy w kościele.

Niech pogany się dziwują,
Jak my się kochamy,
Bośmy przecież są najpierwsze
Z wszystkich chrześcijany.

Oj kochamy się, kochamy
I dlatego właśnie
Ledwie się zbierzemy razem
Zaraz wszystko trzaśnie.

(Ponieważ nie wszyscy Państwo się orientują w labiryntach bujnego życia politycznego, pozwolę sobie wyliczyć aktualne Stronnictwa Pracy, działające na uchodźstwie:)

Więc pierwsze Halerskie
Drugie Janielskie
Trzecie Półjańskie
Czwarte Bezpańskie

Piąte Jóżwiaka
Szóste Nieboraka
Siódme Rządowe
Ósme na wszystko gotowe.

Dziewiąte Pragiera
Dziesiąte Popiela
Jedenaste Zygmunta Nowakowskiego
Dwunaste kogoś innego.

(Przepraszam Państwa za możliwe omyłki, ale bez permutacji poolowej trafić tu, kto z kim i jak, bardzo trudno.)

(Teraz, proszę Państwa, cud naszej emigracyjnej „tiechniku": Ze świstem PPPPSS wpada na scenę bączek. Kręci się w kółko i podśpiewuje:)



Jedzie wózek , jedzie
Ma cyrwune luśnie,
Dajże kociu buzi,
Ino Tomciu łuśnie.

Jo ci buzi dom,
Ty mi buzi dosz,
Jo cie nie wydom,
Ty mnie nie wydosz.

Tomciu jus łusnęło
I w łebkach psygasło,
Kociu buzi dało,
As we wnyntrzu trzasło.

Kotki za wodom,
Bycki za wodom,
Uwazojcie boncki,
Bo wos wywiodom.

Krynci sie nos boncek,
Krynci sie dokoła.
Jak sie mo nie kryncić,
Kiej go kociu woła.

Kotki za stawem,
Bycki za stawem;
Poniechajcie boncki
Z nimi zabawe.

(bączek kłania się publiczności i z przeciągłym PPPSS znika za sceną.)

Proszę Państwa! Wielka niespodzianka! Będzie przemawiał sam pan generał don Zaviela Monte-Gada. (Proszę panie na bok, pan generał owacji nie lubi). Proszę pan generał:



Mam wiadomości telewizją z nieba,
Że na wojnę walizki szykować już trzeba;
Od jutra rana wszystko się odmieni
Więc żołnierze M O I , nie traćmy nadziei.
Będzie wkrótce armia, dowództwo i sztaby
Pestki, „P A R A D Y" przy wojsku posady
Fotografie w pismach, no i moją głowę
Wsadzi się czymprędzej na znaczki pocztowe.

Wszystko pójdzie dobrze bowiem A N G L O P A S Y
Mają atomówki my zaś w Polsce L A S Y .
Na pięknym koniku, otoczon hrabiami
Wjedzie się do Polski /wy wrócicie z nami/
No, a w Polsce wreszcie, niech to licho bierze,
Zamieszkam skromnie, choćby w B E L W E D E R Z E

(chór podejmuje:)

Hej chłopcy wraz,
Nad nami „Orzeł Biały"
A przeciw nam
Z ukrycia idzie wróg!

Pan generał schodzi z rampy wśród skandowanych okrzyków: Zwarci! Silni! Gotowi! Wódz! Wódz! Wódz! Wodza! Wodzu! Wodzowi!

(Na scenę wchodzą chłopcy w maseczkach i fartuszkach. Są w komplecie od B do Z. Nie trudno ich rozpoznać, bo w tym miasteczku znamy się jak łyse konie. Jeden z chłopczyków występuje i sędziwym głosem zaczyna wierszyk:)



Wypada nam wierzyć,
Że nas wcale nie ma,
Bo między wami
Schodzimy w podziemia.

Ostrożność konieczna
Bo Ś W I Ą T Y N I Ę jeszcze
Zraszają profani
Dokuczliwym D E S Z C Z E M.

Jesteśmy bractwem,
Które nie bez racji
Zwą ludzie klubem
Autoadoracji.

To znaczy, że brat brata
Bratersko popiera;
I tak wielkość robimy
Z kompletnego zera.

Zjednoczenie zarżniemy —
Nie ma nawet mowy,
By wami kierowały
Nie masońskie głowy.

Obiecuję wam wzamian
Wiele informacji
O polskich masonów
Pewnej korporacji.

(chór podejmuje „Hej, bracia masoni". Chłopcy rozpływają się w dymie kadzideł, które przed chwilą zapalili przedstawicele Związku Zawodowego Lokai i Podlizków.)

* * *

Tak wygląda nasza mieścina,
Gdy odrobiną kpiny
Grzeszki, kłopoty i głupstwa ludzkie
Troszeczkę odsłonimy.

Gdy zeskrobiemy z karpi i linów
Łuseczkę i pozłotkę
Będziemy mieli, bez reżysera, najlepszą
W świecie szopkę.

Lecz na pociechę jedno Wam powiem
/Lecz tylko między nami/
Te wszystkie rybki, nawet bez łuski,
Zawsze są P O L A K A M I

Teraz, proszę Państwa, piosenka na nutę: Panna Franciszka:

Co dnia nad tobą
Zmieniają wartę
Angielskie ranki,
Sixpensy starte.

I co dnia rachmistrz
Twojego czasu
Wpisuje cyfry
Życia bilansu.



A więc kochani
Śmiejmy się dużo,
Bo życie nie jest
Łatwą podróżą.

Śmiech nas pokrzepi,
Śmiech mocy doda,
Śmiech to ludzkiego
Życia pogoda.

I niech tam sobie
Zmieniają wartę
Dnie same przez się
Nie wiele warte.

Śmiech nas umocni,
Śmiech życia doda,
Śmiejesz się co dnia,
Co dnia pogoda.

* * *

Jak byłoby to dobrze
Gdyby nasza scena
Pokazała nam jeszcze
Jak Jałta umiera.

Jak łeb jej ścina
Śmierć ogromną kosą,
Jak duszę Jałty
Czarne diabły niosą.

O KIM MOWA?



Żołnierz, polityk, pisarz,
Trzy osobistości,
Które szopka dzisiejsza
Nad program ugości:

?

Trzeba mu przyznać,
Że dobrze się trzyma:
Choć lata idą,
Latek nie przybywa.

Nie dziwota, stateczny,
Bo trzyman jest srodze
Widać czasem wodzowi
Dobrze robią wodze.

Lecz pewno czasem
Siedząc przy kołysce
Pomyśli sobie:
Jeszcze nie po wszystkim.

Zagrają trąbki,
Młodość w kości wróci,
I żurawinkę
Znowu się zanuci.

?

Jeśli prezes nie jest
Nadobną kobietą,
Żywa waga prezesa
Wielką jest zaletą.

Wystarczy za reklamę
Gdy reklamy nie ma,
I jest także dowodem
Lekkiego trawienia.

To drugie bardzo ważne,
Jeżeli się zważy,
Że prezesowi zawsze
Ktoś pasztet wysmaży.

?

Nie wierzycie, Kochani,
Że bywają dzwony,
Które co tydzień
Piszą felietony.

Oczywiście bywają,
Ale pod warunkiem,
Że się ten spiż zaleje
Jakim mocnym trunkiem.

P.S.
Gdy trunku doktór wzbroni,
Wtedy bez ochyby
W grzmiącym felietonie
Można łowić ryby.

Jak, z profesji, Komiki
Po niej gorzko łkają
Bo ich pani nie żyje,
Już żłobu nie mają.

Wreszcie jak Earls Court rusza
In gremio do Polski,
Topiąc przedtem w Tamizie
Emigranckie troski.

A z Polski uciekają
Niecne bolszewiki
Gonią ich — ścigu, ścigu —
Nasze pułkowniki.

Czekamy długie lata,
Da Bóg, a doczekamy
Takich aktualnych szopek
Na scenach Warszawy.

* ◆ *

P.S. do p.p. aktorów:
Proszę nie mieć żalu,
Proszę nie pamiętać
Złośliwości szopkowych
Złośliwego
Sępa.

WYPRAWA MAŁEJ SU MEI

(Dokończenie)

obcym zakątku Chin samotny Chińczyk mógł oczekiwać pomocy i sprawiedliwości. Tutaj kogoś to obchodziło.

Martwił się teraz. To dziecko tak szybko stało się osobowością, kimś dla niego ważnym. Była... jakby jego przyjacielem. Nie po prostu pacjentką, której zdrowie go obchodziło, nie pierwszym przypadkiem postrzału w dziejach oddziału dziecięcego, ale Su Mei, kimś, kogo znał, kogo zdumiewającą mieszaninę czystej prostoty z tajemniczością miał zapamiętać na zawsze.

Wróciła nazajutrz, w ambulansie, który szusnął przez bramę szpitalną, gdy Ryszard Brown machnął kierowcy dłonią.

— Znaleźli ją w kościele — objaśniła go siostra operacyjna. — Na kolanach, nieprzytomną. Spędził tam całą noc.

Zobaczył ją w godzinę potem, kiedy obchodził oddział dla dzieci Środki podniecające przywróciły jej świadomość, a później uspakajające uśpiły w łóżeczku, które było na nią akurat dostatecznie długie. Na razie nie widział oznak niebezpiecznych komplikacji, których się spodziewał.

Dzień spędził pracowiciej niż zazwyczaj.Spóźnił się z wyjściem i z wieczornym „dobranoc", rzucanym dzieciom ode drzwi. Już zebrano miseczki i pałeczki po ostatnim posiłku małych pacjentów, i wieczornego chóru „dobranoc" nie tłumiły-pełne buzie ryżu. Wtedy zobaczył parę oczu, utkwionych w niego z łóżeczka Nr 10, z wyrazem rozpaczliwego błagania. Podszedł.

— Dlaczego przyprowadzili mnie tu z powrotem? — zapytała. Jej głos opadł do zmęczonego szeptu.

— Zanim kogoś pożegnamy, trzeba na prawdę wydobrzeć — powiedział.

Przez chwilę milczała, potem spytała:

— Którego dziś mamy?

Automatycznie biorąc jej kiść i licząc puls, powiedział jej dzień tygodnia i miesiąca. Kiedy go usłyszała, wyrwała mu rękę, przycisnęła do serca, a potem uchwyciła jego dłoń w gorącym, rozpaczliwym uścisku.

— Więc pan musi mi pomóc. Inni mówią: „Śpij!", ale pan rozumie, że ja nie mogę spać.

Powiedział to z zaufaniem i mówiła prawdę. Nie znał przyczyny, ale wiedział, że coś nie pozwalało jej odpoczywać.Usiadł na jej łóżku i zaczął ją uspakajać jak przedtem. Jej wyczerpane ciało i napięty umysł gwałtownie żądały spoczynku. Gdyby tylko potrafił ukoić jej niepokój! Poprosił:

— Opowiedz mi jeszcze coś o siostrze Róży i jej różach, i o papierowych łódkach.

Ale tym razem nie udało mu się... Zapytała tylko:

— Pomoże mi pan?

— Tak. — Było to wszystko, co potrafił odpowiedzieć. Dodał:

— Czy to jest coś w związku z taśmą pod twym prawym ramieniem?

Potaknęła gładką, czarną główką i zasypała go słowami:

— Musi mi pan pomóc, bo ja tutaj nie mam przyjaciół, a to jest sprawa ważna. Nie prosiłabym pana dla siebie, ale, widzi pan, tak długiej drogi nie odbyłam tylko dla siebie. Jestem..., — zawahała się.

— Agentką? — poddał.

— Co to jest?

— To jest ktoś taki, kto reprezentuje kogoś innego i działa w jego imieniu.

— A właśnie. Więc jestem agentką. I to, po co mnie wysłano, muszę zrobić dziś.

— Masz jakąś wiadomość? Mogę ją zanieść w twoim imieniu?

— Tak się boję, że już jest za późno. — Pomiędzy grubymi rzęsami zabłysły łzy, bezradnie zwolniła swój uścisk.

Uspakajał ją:

— Tylko mi powiedz, komu twoją wiadomość mam zanieść, i od razu pójdę.

Boleśnie przymknęła oczy.

— Właśnie, że nie wiem — jęknęła. — Nie wiem. Nigdy nie przypuszczałam, że Hongkong będzie taki duży. Wczoraj pytałam tylu ludzi i nikt mi nie umiał nic powiedzieć. Jedna pani, która powiedziała, że mi pomoże, skłamała. Podsłuchałam, jak telefonowała do szpitala, chciała mnie odesłać z powrotem. Więc uciekłam. — Była teraz tylko dzieckiem, małym dzieckiem. Wreszcie zapytała niepewnie:

— Odnajdzie pan dla mnie siostrę Różę? — W głosie jej usłyszał dziecięcą bezradność, prośbę do kogoś, kto zajął miejsce jej nie żyjącej matki, kto na siebie wziął wszelkie dziecinne kłopoty i zmartwienia. Powiedział:

— Nie martw się. Znajdziemy.

— Ale dzisiaj — nalegała. — Niech ją pan znajdzie dzisiaj.

— Przecież mówiłaś, że ona jest daleko w Chinach.

Potrząsnęła główką:

— Nie, ona jest tutaj, w Hongkongu. Nowy rząd uwięził wszystkie siostry. Kiedy je nareszcie wypuścili, siostra Róża była chora, bo, widzi pan, ona jest już bardzo stara. Siostry pojechały do Kantonu — nasi nowi nauczyciele nie pozwolili nam pójść i pożegnać się z nimi — i po długim czasie mogły przyjechać tutaj, do Hongkongu. Pół roku temu. I słyszałyśmy, że siostra Róża była za ciężko chora na wyjazd do domu z resztą. Została w Hongkongu.

Życie Ryszarda Browna polegało na pomaganiu ludziom, którzy ciężar swego losu powierzyli jego umiejętnościom. Ich wiara była czasem przesadna, a ciężar dźwigali tragiczny, ale właśnie tacy ludzie najbardziej potrzebowali jego pomocy.Wszystko to były stare dzieje.

— Zatelefonuję do pewnego znajomego — powiedział. — Może uda mu się znaleźć siostrę Różę, a ona potem już będzie wiedziała, co robić dalej.

Krótka ucieczka od wiary i prośby jej ślicznych, ukośnych oczu, przyniosła mu ulgę. Kiedy wrócił, była jeszcze spętana w supełki niepewności. Rzekł jej:

— No, moja Su Mei, wezmę cię teraz do siostry Róży.

Wiedział, że na długo spamięta wyraz radości, który rozpalił jej oczy.

— Dzisiaj?

— Teraz. Zaraz cię zapakujemy na wózek.

Kiedy ją wiózł w fotelu na kółkach, obróciła ku niemu oczy, w których błyszczały gwiazdy i powiedziała:

— Po drodzę muszę kupić kilka róż. Ona je tak kocha. Mam trochę pieniędzy.

— Zaraz, zaraz — zamruczał i zostawił ją samą, na fotelu, w długim korytarzu. Nie minęło pół minuty, jak wrócił, z wyrazem winy na twarzy i czterema różowymi różami w ręku... pierwsze kwiaty z ulubionego krzaka siostry przełożonej.

— Świeższe niż ze sklepu — wytłumaczył — i nie potrzeba nic płacić.

Przejeżdżając głównym wyjściem wiązała kwiaty w bukiecik. Zdumiona, podniosła oczy, dopiero gdy zapukał do drzwi w połowie innego długiego korytarza. Ktoś cicho odpowiedział i Ryszard Brown otworzył drzwi.

— Gość do siostry, siostro Różo — zaanonsował.

Był to maleńki pokoik, zalany odbitym światłem słonecznym. W łóżku, wysłanym mnóstwem poduszek, leżała koścista staruszka. Jej twarz była prawie tak biała jak okalający ją kaptur zakonny. Karta gorączkowa nad łóżkiem ukazywała krzywą, której kształt dla każdego, kto się na tym znał, jak Ryszard Brown, oznaczał niebezpieczeństwo. A nad krzywą napisane było: „Siostra Bonawentura" — imię, które dla języków małych, chińskich sierot okazało się za trudne.

Stare, powoli otwierające się i zamykające oczy nie rozpoznały dziewczyny, aż dopiero gdy przemówiła:

— Kochana siostro Różo, to Su Mei przyszła z różami i z listem.

Od łóżka rozległ się okrzyk.

— Su Mei! Ach, niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! Oto mam jeszcze jedną odpowiedź na modlitwy!

Cienkie palce, drżące jak motyle, wybiegły na spotkanie różom i dłoni, która je podawała.

— I róże!

— I list — dodała dziewczynka wychylając się z fotela, by pomóc drżącym palcom w rozwiązywaniu kokardy.

— Niech siostra przeczyta, co tam jest napisane — wykrzyknęła z prostym podnieceniem dziecka pod choinką.

Ryszard Brown odstąpił do dalszej krawędzi łóżka i przytrzymywał jeden koniec szkarłatnej wstęgi, podczas gdy Su Mei trzymała drugi, żeby siostrze Róży łatwiej było odczytać haftowane znaki. Czytała chińskie pismo od prawej do lewej, nieświadomie szepcąc wyrazy po angielsku, akcentem, w którym dźwięczały echa Neapolu i Manhattanu.

— W jej osiemdziesiąte urodziny przesyłamy pozdrowienia dla siostry Róży, którą kochałyśmy od maleńkości i będziemy kochały, aż się tak zestarzejemy jak ona. Od Li Lan, Fai Kua, Su Mei, Czu Tsia... — wszystkie 28 imion, które ich właścicielki wyhaftowały dzięki umiejętności, nabytej od siostry Róży.

Staruszka-zakonnica ukryła łzy w różach matrony i wyszeptała krótką, łacińską modlitwę.

— Nigdy o siostrze nie zapomniałyśmy — opowiadała jej Su Mei. — Nasi nowi nauczyciele nie pozwolili nam, żebyśmy przyszły powiedzieć „do widzenia", kiedy siostrę wypuścili z więzienia, ale pamiętałyśmy każdego dnia, i co wieczór, w łóżku, po ciemku, modlimy się za siostrę. I kiedy przypomniałyśmy sobie o tym, że zbliżają się siostry urodziny, i o tym, jak siostra kochała urodziny i nasze czyniła tak przyjemnymi, chciałyśmy wysłać siostrze list. Ale nie znałyśmy adresu i bałyśmy się, że oni by otworzyli list i potem spalili. Więc postanowiłyśmy, po ciemku, w sypialni, że wyhaftujemy życzenia i któraś z nas zawiezie je do Hongkongu i odnajdzie siostrę.

Ryszard Brown spóźni się na przyjęcie, ale ani myśli o wyjwidoku gojenia się, a tutaj, ściu. Niczego tak nie kochał jak przed sobą, widział cud gojenia się dwóch prostych serc — a nawet gojenia się jednego ciała. Ale nie drugiego... Było dla niego jasne, że siostra Róża, która kocha urodziny, nie zobaczy już następnych.

Stare oczy dopiero teraz dostrzegły blade zmęczenie na młodziutkiej buzi i szpitalny fotel.

— Ależ kochana moja, ty też jesteś chora!

— Nie chora, proszę siostry. Pan doktór już mnie uzdrowił. Na granicy było kilku złych policjantów. Musiałam rzekę przepłynąć.

Przez kilka minut uspakajali przerażenie siostry Róży. Wreszcie znowu wzięła w dłonie szkarłatną wstęgę i zapytała:

— Ale jak to się stało, moja kochana, że to właśnie ciebie wybrały dziewczynki do przeniesienia tego cudownego podarku?

— Zrobiłyśmy łódki z papieru, proszę siostry — odpowiedziała — tak jak nas siostra uczyła, a potem urządziłyśmy wyścigi.

Stare ręce uniosły się gestem współczucia.

— O, moja biedna Su Mei. I ty przegrałaś!

W odpowiedzi dziewczynka rzuciła doktorowi psotne spojrzenie.

— Nie, proszę siostry — rzekła. — Ja wygrałam.

DO DZIECIĄTKA

Prosimy Cię o ciszę, która by ręką białą
Myśli rozkwitające zamieniała w ciała,
Ciszę szczęśliwych dzieci w rozsłonecznionym ogrodzie,
Dzisiaj i jutro i codzień.

Prosimy Cię o wyrok nieubłagany jak granit,
Wyrok na proch i kule, stal i dynamit,
O potępienie maszyn, by ludzkiej nie widzieć biedy
Ni dziś, ni kiedyś.

Prosimy Cię o ciepłe, rozrosłe ognistym krzakiem,
Ciepło sędziwych osiedli, zawsze jednakie,
Bo oto wiatr lodowaty dziwnej, wojennej podróży
Domy nam burzy.

Prosimy Cię o przyjaźń i zrozumienie i troskę,
Która by mogła świat cały zamienić w wioskę,
Nie chcemy ludzi, co przyszli, przyjaźnią ręce ogrzali,
I idą dalej.

Prosimy Cię o uśmiech, nie ten z buńczucznych defilad,
Który jest pusty jak nicość, krótki jak chwila.
Śmieje się jabłoń ku niebu rozwarciem kwiecistych powiek;
Spraw, by zrozumiał ją człowiek.

Prosimy Cię o wolność myśli i wiary i słowa,
O pomoc dręczonej duszy, skutej w okowach,
O wyzwolenie prawdy, o wszelkie blaski i słodycz,
Prosimy Cię o łaskę wiecznej swobody — Amen.

Jan Roztworowski



Kilkutysięczny nakład "KALENDARZA RODZINY POLSKIEJ NA ROK PAŃSKI 1954" został całkowicie wyczerpany. Ponieważ nie będziemy drukować drugiego wydania kalendarza, uprzejmie prosimy o nienadsyłanie dalszych zamówień.

**Katolicki Ośrodek Wydawniczy
VERITAS**

BRAMA KARAWANSERAJU



DO obszernej kuchni, w której królowała wśród licznej służby właścicielka karawanseraju, wszedł Raboam, bogaty handlarz wonności. Deborah, mruknął, nie mogę dokończyć posiłku w tej waszej wielkiej sali. Nie nadaje się już ona do użytku. Rozwalili się w niej arabscy handlarze perfum, wyglądają mi na prawdziwych rozbójników. Właśnie rozpoczęli kłótnię z uczciwymi kupcami Egiptu, Mezopotamii i Kapadocji, dochodzą nieomal do rękoczynów. Przyjmujecie obecnie u siebie byle kogo. Dlaczego otwieracie drzwi na oścież dla wszystkich bez wyboru?

— Płacą za to dobrze — odparła gospodyni wzruszając ramionami i popychając młodego chłopca w wieku około 10 lat, który u końca stołu zmywał puchary. „Ogłuchłeś Izmaelu? — wrzasnęła — Nie słyszałeś dwukrotnego stukania w bramę? To pewnie jest dostawca, a on nie lubi czekać!

Chłopak poskoczył do ciężkiej, gwoździami nabijanej bramy otwierając ją wprost na ośnieżoną drogę. Lodowaty podmuch wpadł do kuchni, pełnej aromatu pieczonego mięsiwa, miotając czerwonymi i błękitnymi płomieniami, tańczącymi spokojnie pod miedzianymi rusztami.

Od progu doszedł proszący głos: „Na próżno kołataliśmy do wielu wrót. Przychodzimy z daleka. Moja młoda żona drży z zimna i jest u kresu sił. Czy możemy znaleźć miejsce w waszym zajeździe?

Deborah podbiegła do przybyszów. Jednym spojrzeniem oceniła, że ten biednie odziany mężczyzna, ta wyczerpana zupełnie kobieta siedząca na straszliwie wychudzonym ośle, to są biedacy nie zdolni do jakiejkolwiek zapłaty.

— Nie — odparła twardym głosem — nie ma tu miejsca dla was, idźcie w swoją drogę

— Litości, — jęknął podróżny — najmniejszy kąt nam starczy. Bóg wynagrodzi wam dobry uczynek.

— Bóg! — drwiąco odparła kobieta — no, rzeczywiście dobrze mi odpłacił. — Jednym ruchem zdarła czarną opaskę, ukazując ropiejący wrzód na szyi i lewym uchu.

— Temu, który cierpi, Bóg może zawsze posłać pocieszyciela — odrzekł podróżny. — Wszystkich tu przyjmujecie, czy odmówicie gościny jedynemu, który może was uzdrowić?

— Banialuki to wszystko — ciskała się zła gospodyni — nie mam czasu do stracenia! Precz stąd! ,

— Banialuki — zawtórował handlarz wonności — Jeżeli Bóg chce nam pomóc, niech przepędzi Rzymian okupujących i dławiących ten kraj; niech zniży ceny chleba, wina i oliwy; niech nas zwolni z nadmiernych opłat, pod którymi już upadamy!

Izmael nie mógł oderwać wzroku od młodej i cichej kobiety, uśmiechającej się ze smutkiem do niego poprzez zasłonę. Ale Deborah chwytając go za ucho szarpnęła wstecz i jednym pchnięciem postawiła przy przerwanej robocie. „Do roboty niedołęgo, darmozjadzie" zrzędziła.

Brama zamknęła się z łoskotem. Dwoje podróżnych powędrowało dalej w śnieżycę i noc.

— Statki zmyte? Goście już śpią? Dobrze, i wy służba możecie iść spać. Ah! Są jeszcze przewodnicy karawany, która przybyła dziś wieczorem. Izmaelu, zanieś im chleba i dzban mleka. Czego stoisz! Śnisz? — Znów pchnęła — Ruszaj żywo!

Wynędzniały sierota, popychadło karawanseraju Izmael stracił prawą rękę zmiażdżoną pod kołami wozu. Z rękawa jego tuniki sterczał mizerny kikut, do którego umocowano prymitywną protezę — zagięty hak. Za ten hak Izmael zaczepił ucho dzbanu, w drugą rękę wziął chleb i wyszedł.

W głębi podwórza, pod otwartą galerią słabo oświetloną kopcącymi kagankami, spało kilku nomadów, owiniętych w koce, tuż przy swych wielbłądach, inni przynależni do szczepów powaśnionych kłócili się i wymyślali wzajemnie, dochodząc niemal do walki na noże.

— Zabieraj swój chleb i mleko, mamy co innego do roboty! — Zakrzyknęli chórem przewoźnicy. — Zjedz i wypij sam! Nas zostaw w spokoju, — wołali inni. Wystraszony chłopiec już miał się udać na wiązkę słomy, służącej mu za posłanie pod schodami, gdy pod wpływem nagłego impulsu zawrócił i otworzył małą furtkę wiodącą na pole. Po lewej ręce w oddali, pod ośnieżonymi dachami spało Betlejem; po prawej, między dolinami i wzgórzami wiła się biała droga. Zadumał się biedny Izmael przed tym dziewiczym pejzażem, nad którym rozpostarło się niebo jak aksamit ciemne, usiane tysiącem gwiazd.

Nagle przemknęła mu zbawienna myśl: pójść i poszukać biednych podróżników, których Deborah nie chciała przyjąć i zanieść im to mleko i chleb, którym wzgardzili wielbłądnicy. Dobra myśl jest jak anioł, który przechodzi, mawiała mu niegdyś matka.

Izmael jednak był tylko małym i słabym chłopczyną, bał się zimna i nocy. Już chciał się cofnąć. Wtem wspomnienie młodej, pięknej i tak anielskiej kobiety, która uśmiechała się doń tak łagodnie, poruszyło mu serce. Ruszył naprzód.

Nie czuł zimna, nie bał się niczego. Nigdy nie szedł tak szybko. Na jednym z zakrętów drogi doszły go głosy i śpiewy radosne od wzgórzy. Nadbiegli pasterze, niosąc płonące łuczywa, mieniące się jak gwiazdy na tle ciemnej nocy. Fala ich ogarnęła i powiodła chłopczynę.

— Ukazali się nam aniołowie, chłopcze i oznajmili nam wielką nowinę. Mesjasz się właśnie narodził. Dzieciątko to znajdziemy w stajence, spoczywające w żłóbku.

Biegnącym pasterzom ukazała się wreszcie niewielka grota osłonięta od śniegu i wiatru słomianym daszkiem. Wewnątrz na słomie leżało Dziecię ogrzewane oddechem osła i wołu. Na klęczkach przy żłóbku mężczyzna i kobieta wpatrują się w nie z bezmierną radością. Tak, to byli biedni podróżni wypędzeni z karawanseraju.

Izmael podchodzi do nich, lecz onieśmielony pięknością niemowlęcia, przedziwnym światłem bijącym wokoło, waha się złożyć tak skromne dary, stawia je więc na ziemi i chowa się za żłobek. Widzi to młoda matka. Łagodnym ruchem bierze dłoń niemowlęcia, dotyka nią żelaznej protezy chłopaka. Nagle ten stary poczerniały żelazny hak pod dotknięciem niemowlęcia przemienia się w małą chłopięcą rękę. Oszołomiony szczęściem Izmael wpatruje się w cudem odzyskaną rękę. Pochylając się doń rzecze Maria szeptem: „Czyż nie otworzyłeś nam drzwi twego serca? Oto nasza odpowiedź. Mój Jezus może wszystko wyleczyć, wszystko ocalić... lecz kiedy puka, trzeba uchylić mu drzwi..."

W smutnym karawanseraju, jakim jest świat dzisiejszy, ludzkość wpędzona w nieszczęścia i ruinę, czerpiąca na myśl grożących jej nieszczęść i katastrof, przyjmuje wszystkich proroków i cudotwórców wyjąwszy Tego, który jeden tylko może wstrzymać jej pęd ku zagładzie.

Ktoś puka do naszych drzwi... Otwórzmy! To jest Zbawiciel.

Jan Vézère.

PASTERKA



Ptaki niby dzwoneczki cieszą się kolędą —
Chrystus nam się narodził i nowe dni będą.
Do stajni betlejemskiej aż od brzegów Wisły
Z ptakami smukłe sarny dziwować się przyszły.
Wiewiórka zęby szczerzy i w niebo się patrzy,
Jak dwa gołębie płyną na błękitnej tarczy.
I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy,
Niosą myrrhę, kadzidło i złote kielichy.
I pawie przyfrunęły z krajów cudzoziemskich,
By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.
A mały Chrystus, smutny, w drzwi patrzy i czeka,
By pośród witających zobaczyć człowieka...

Jerzy Liebert

Dramat na parterze



Scena przedstawia parter teatru w Londynie.

Gruba dama (zwracając się do męża): — Dobrze siedzisz, tatusiu?

Tatuś: — Oh! Ujdzie... Nie niepokój się.

Jimmy (ich synek): — Alę ja nie mogę nic zobaczyć.

Gruba dama: — Kochanie, nic jeszcze nie ma do zobaczenia... (podnoszą kurtynę). — Ah! Jimmy, patrz, jak piękne karzełki tańczą koło ognia. A śliczna wróżka podchodzi... Patrz!

Jimmy: — Kiedy ja nic nie widzę... Gdzie są karzełki? Gdzie wróżka?

Gruba dama: — Boże, jak ten mały działa na nerwy! Nie ruszaj się tak!

Jimmy: — To nie moja wina, mamo, że nie mogę nic zobaczyć... Kapelusz tej pani przede mną wszystko mi zasłania.

Gruba dama (uznając słuszność narzekań synka): — Tatusiu, mały mówi, że nic nie widzi przez kapelusz tej pani.

Tata (ze spokojem): — Nic nie pomogę na kapelusz tej pani.

Gruba dama: — Powinieneś zmienić z nim miejsce.

Tata: — Zawsze z tobą to samo. Zresztą dawaj malca... Nie lubię tych historyj. (zmieniają miejsce). — Dobrze ci będzie teraz? (siada za kapeluszem, który przedstawia zbiorowisko piór i kwiatów). — Do diabła! Co za kapelusz!

Gruba dama: — Nie dziwisz się więcej, że Jimmy nic nie widział? Poproś tę panią, by zdjęła kapelusz.

Tata (dotykając pleców właścicielki kapelusza): — Przepraszam panią, czy nie byłaby pani uprzejmą i nie zdjęła swego kapelusza? (Nie dostaje żadnej odpowiedzi.)

Tata (przynaglająco): — Nic się chyba pani nie stanie, gdy zdejmie kapelusz? (Bez rezultatu.) Proszę panią, drugi raz już się do niej zwracam i grzecznie proszę o zdjęcie kapelusza... Bawię się tu za nim w ciuciubabkę. (Nie ma odpowiedzi.)

Gruba dama: — I ta ma pretensję być kobietą z towarzystwa. Nie odpowiada więcej od wypchanej indyczki.

Tata (do męża tej pani): — Może pan poprosi swą żonę, by zdjęła kapelusz?

Pani z kapeluszem (do męża): — Jeżeli się będziesz wtrącał, usłyszysz coś ode mnie!

Gruba dama: — Ah! la, la! Co to nieuczciwych ludzi na świecie! Jaka szkoda, że mąż nie może jej nauczyć dobrego wychowania.

Tata: — On? Z taką jędzą jak jego żona nie będzie zaczynał.

Pani w kapeluszu: — Sam! Czy pozwolisz mnie tak obrażać?

Mąż (drżącym głosem): — Pa... pa... panie... proszę przestać mówić o kapeluszu mej żony. Nic nie słyszę co mówią na scenie.

Tata: — Dałem pół korony, by zobaczyć bajkę, a nie kapelusz pańskiej żony. (Do swej połowicy): — Zresztą dosyć! Jimmy wróci na swe miejsce i stanie na krześle (Jimmy staje na siedzeniu).

Widz (dotykając ramienia taty parasolem): — Niech pan powie synkowi, by usiadł. Zasłania mi cały widok.

Tata: — Zgodzę się, o ile pan zmusi tę panią, by zdjęła kapelusz. Inaczej nie ustąpię. Stój tak, Jimmy, mój kochany... Nie ruszaj się!

Widz: — To tak? Dobrze, to i ja wstaję. Chcę widzieć scenę.

Tłum: — Siadać! Siadać! To dopiero dziki człowiek! (Widz siada, wściekły).

Jimmy: (wrzeszcząc):— Tatusiu!... Ten pan szczypie mnie w łydkę! Aj! Aj! Aj!

Tata: — Proszę nie szczypać małego. Nic panu nie zrobił!

Widz: — Wobec tego, siadać!

Tata: — Proszę zareagować na kapelusz!

Tłum: — Cisza!... Siadać!... Zabrać smarkacza!... Zdjąć kapelusz!... Cicho, do stu diabłów! ...Wyprowadzić ich... To hańba!... Wstyd!

Mąż pani w kapeluszu (cicho do żony): — Słuchaj... Zdejm kapelusz, będzie spokój.

Pani w kapeluszu (oburzona): Co??? Ja mam zdjąć kapelusz??? Prędzej umrę!!! Słyszysz???

Bileterka: — Cisza, proszę państwa. Będę zmuszona zawołać policję. Nie wolno stawać na krzesłach... Przeszkadza się w przedstawieniu.

(Jimmy siada, płacząc po cichu. Na parterze panuje spokój. Chwilowo pani w kapeluszu triumfuje.)

Gruba dama: — Nie płacz, kochanie... Za chwilę dam ci moje miejsce... Prawdopodobnie ta pani ma ważne powody, by nie zdejmować kapelusza. Biedna kobieta...

Tata (współczująco): — Ah! To prawda. Nie pomyślałem o tym. Naturalnie. O ile by zdjęła kapelusz, włosy poszłyby za nim w ślad. Ma perukę.

Gruba dama: — Słusznie powiedziałeś... Nie trzeba mieć do tej biedaczki wobec tego żalu.

Pani w kapeluszu (zdejmując raptem nakrycie głowy i odwracając się): — No... Wyobrażam sobie, że państwo jesteście zadowoleni wreszcie?

Tata: — Lepiej późno, niż nigdy. Dziękujemy serdecznie. Między nami mówiąc, nie wiem, czemu pani nie zdjęła go od razu? Obyłoby się bez krzyków i awantur. Poza tym jest pani przecież wiele ładniej bez kapelusza. Nie rozumiem więc, dlaczego pani upierała się, by w kapeluszu pozostać. Prawda, mamusiu?

Gruba dama: — Masz zupełną słuszność.

Pani w kapeluszu (udobruchana): — Sam... Spytaj się tego sympatycznego pana za nami, czy synek jego lubi cukierki; chciałabym go poczęstować.

Kurtyna

Podarki gwiazdkowe



Rys. T. Terlecki

UŚMIECHNIJ SIĘ

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Fred i Bill są dziećmi bogatych rodziców. Wychowani w jednakowych warunkach, chłopcy mają jednak zupełnie odmienne charaktery i usposobienia. Fred — uśmiechnięty, ze wszystkiego zadowolony, optymista. Bill — zawsze znajdzie dziurę w całym, nigdy nie cieszy się z tego, co ma.

Kiedy chłopcy dorocznym zwyczajem angielskim wystawili w dniu wigilijnym buciki koło kominka, ojciec postanowił im dać małą nauczkę. Przy trzewiku Billa postawił małe auto, a następnie kazał przynieść ze stajni łopatę nawozu końskiego i wsypał go do buta Freda.

Na drugi dzień, skoro świt, chłopcy pobiegli obejrzeć niespodzianki gwiazdkowe.

— Phi! — mruknął Bill — auto! Wolałbym awionetkę...

— Tatusiu! — z radością zawołał Fred— Gwiazdka przyniosła mi prawdziwego żywego kucyka. Co prawda uciekł, ale zostawił wyraźne ślady, że tu był.

SOWIECKI HUMOR

— Jednak, Soniu, nie potrafisz wyzbyć się burżuazyjnych przesądów. Widzę, że całkiem jak kapitalistka używasz szczoteczki do zębów.

— Gadasz głupstwa! Po pierwsze, to nie moja szczoteczka, lecz sąsiadki, a po drugie — używam jej nie do zębów, tylko do mieszania herbaty.

UMIAŁ POWIEDZIEĆ

Gimnazjalista z czwartej klasy wraca do domu ze szkoły i pyta ojca:

— Papo, czy przypominasz sobie, jak cię w czwartej klasie wyrzucono z gimnazjum?

Ojciec niechętnie odpowiada:

— Pewnie, że sobie przypominam.

Uczeń z uśmiechem:

— Dziwne, jak się wszystko na świecie powtarza, gdyż i mnie to samo spotkało!

W CYRKU

— Co? „Kobieta z brodą" umarła?

— Tak! Osierociła wdowę i czworo dzieci.

O LOS POLSKICH DZIECI W NIEMCZECH

UTWORZENIE KOMISJI POMOCY PRZEZ ZJEDNOCZENIE POLSKIE

Pisaliśmy już w tym miejscu o grupie poskich dzieci z Niemiec, które spędziły w Anglii wakacje jako goście zamieszkałych tu rodzin. Był to początek szerszej akcji. Inicjatywę Zjednoczenia Polek na Emigracji podjęło obecnie Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii powołując do życia Komisję Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech (nazwa angielska brzmi: Polish Children in Germany Help Committee).

W Niemczech zachodnich mieszka przeszło 10.000 polskich dzieci w wieku do lat 16. Wobec powszechnej nędzy pośród polskich „dipisów" sytuacja dzieci jest szczególnie tragiczna. Mieszkają one przeważnie w obozach, jest między nimi wiele sierot i półsierot. Wobec niedożywienia zapadają one na zdrowiu, często na gruźlicę. Brak odzieży jest zjawiskiem powszechnym. Należy pamiętać, że olbrzymią większość Polaków pozostałych w Niemczech stanowią ludzie niezdolni do pracy lub chronicznie chorzy, odrzuceni przez wszystkie komisje emigracyjne, zdani na niskie zasiłki urzędowej niemieckiej opieki społecznej. W tych warunkach kształcenie w dzieciach polskości jest, jak dotąd problemem beznadziejnym.

Tak więc mimo ogromnych wysiłków Zjednoczenia Uchodźców Polskich w Niemczech, pracy duchowieństwa i nauczycielstwa, oraz mimo znanej, wspaniałej ofiarności Oddziałów Wartowniczych (w strefach amerykańskiej i brytyjskiej) — pomoc z zewnątrz jest niezbędna i gwałtownie potrzebna. Komisja pomocy wyraża nadzieję, że wszyscy Polacy przystąpią do akcji pomocy dzieciom, bowiem spośród wszystkich tragedii ludzkich niedola dziecka jest najbardziej przejmująca.

Pomocy może udzielić każdy Polak w trojaki sposób:

1) przez składanie ofiar pieniężnych, bądź to bezpośrednio do Komisji lub pocztą (czek. Postal Order, Money Order, wystawiać należy na: Polish Children in Germany Help Committee, 55, Princes Gate, London, S.W.7 albo na konto Komisji w National Bank Ltd., Bayswater Branch, 70, Gloucester Gardens, London, W.2), bądź to za pośrednictwem list zbiórkowych, rozesłanych przez Komisję do polskich instytucji i organizacji społecznych w W. Brytanii.

2) Przez objemowanie opieki nad poszczególnymi dziećmi lub grupami dzieci w Niemczech i systematyczne przesyłanie im paczek; zgłoszenia kierować należy do Sekcji Pomocy Indywidualnej, 3, Beaufort Gardens, London, S.W.3, tel. KEN 3727.

3) Przez zjednywanie dla akcji pomocy jak największej ilości osób spośród swego otoczenia.

Członkami komitetu honorowego akcji są pp.: gen. Władysław Anders, Tomasz Arciszewski, Jan Jundziłł - Baliński, Władysław Borkowski, gen. Tadeusz Bór - Komorowski, Władysław Donigiewicz, ks. Władysław Fierla, J.E. ks. arcybiskup Józef Gawlina, gen. Józef Haller, dr Bronisław Hełczyński, Irena Komorowska, gen. Tadeusz Malinowski, ks. Bronisław Michalski, gen. Roman Odzierzyński, dr Karol Poznański, Edward Raczyński, Helena Sikorska, Stefan Soboniewski, ks. prałat Władysław Staniszewski, Bolesław Wierzbiański.

W komitecie wykonawczym Komisji zasiadają: Tadeusz Drwęski — przewodniczący, Jadwiga Hausnerowa — wiceprzew., dr Stanisław Ożga — wiceprzew., Adam Treszka — sekretarz, dr Zdzisław Piątkowski — skarbnik, Zofia Arciszewska — przew. Sekcji Pom. Indyw., Elżbieta Zamoyska, ks. Kazimierz Sołowiej i Henryk Moszczyński.



Fot. W. Bednarski — Londyn

Jak corocznie św. Mikołaj odwiedził w otoczeniu dwóch aniołków dzieci polskie przy parafiii na Devonia Road, gdzie jest największa w Londynie sobotnia szkoła nauki przedmiotów ojczystych. Jak widzimy, podarunki były nie tylko liczne ale i pokaźnych rozmiarów.

PODRÓŻ MACIUSIA

„Dziatwa" przyniosła dziatwie na gwiazdkę drugą część „Maciusia i Lokomotywy", ulubionej książeczki naszych małych, — p.t. „Podróż Maciusia". Jest to choć we śnie ale dokładnie prawdziwa podróż po Polsce, napisana ślicznym, łatwym wierszem Zofii Bohdanowiczowej, ilustrowana przez Annę Szymańską. Dzieciom ten miły podarek da niewątpliwie dużo przyjemności i wiadomości, dorosłym zaś — wiele wspomnień i wzruszeń. „Podróż Maciusia" jest bezsprzecznie najcelniejszą pozycją w obecnej literaturze dziecięcej. Cena książki 4/-, str. 62, ilustracji 46, na składzie w Zjednoczeniu Polskim, 18, Queens Gate Terrace, Londyn, S. W 7.



Fot. W. Bednarski — Londyn

Na wzór audycji BBC monachijskie Radio Wolnej Europy urządziło audycję „20 pytań", w której wzięli udział polscy studenci i studentki z Londynu. Audycja, nadana do kraju, była nie tylko interesująca, ale i wesoła — jak widać z uśmiechniętych twarzy jej uczestników.

O POLSKIEJ ZIMIE NA ZIEMI ŚWIĘTEJ

(Dokończenie ze str. 4)

czy ... zatem snuć dla nich bajkę, która dziwnym zbiegiem okoliczności sama ułożyła mi się była przed chwilą w półsennej głowie. Dzieci ucichły się. Starszy słuchał uważnie, młodszy wybałuszył na mnie swoje czarne ślepki.

„Kiedy było już niedaleko do tegorocznych świąt Bożego Narodzenia, zamyślił się Pan Jezus, porozmawiał z Matką Boską i idzie do Boga Ojca:

„Ojcze" — powiada — „chciałbym, żeby polskie dzieci w Palestynie miały takie same Boże Narodzenie jak w Polsce: ze śniegiem, z trzaskającym mrozem i z prawdziwą zimą. Wiem przecież Boże Ojcze, jak tutaj bywa: paskudna plucha i błoto — ale tutejsi już przywykli, więc im z tym dobrze. Cóż jednak te moje polskie maleństwa winne, że je wojna z Polski wygnała? Niechże przynajmniej w dniu mego Narodzenia przypomni im się ojczyzna".

Zafrasował się stary Pan Bóg, podumał i tak wreszcie powiada: „Na świecie porządek powinien być: w Polsce — polska zima a w Palestynie palestyńska. Ale że wkrótce Synu Twoje Urodziny, niechże tak będzie, jak sobie życzysz. Spraw Twoim polskim dzieciom na tej ziemi, na której są na razie przyszedłeś, polskie święta".

Ucieszył się Pan Jezus bardzo i zaraz wyszukał św. Michała Archanioła, który sprawuje w niebie komendę nad pogodą, ażeby mu obwieścić wolę Boga Ojca.

„Ma być polskie Boże Narodzenie w Palestynie" — powiedział i poszedł do swoich spraw.

Św. Michał wziął się z miejsca do roboty, co Pan Jezus rozkaże, to święte, a czasu pozostawało już niewiele. U burych chmur, które się zajmują dostawą zimowej pogody, zamówił Archanioł tysiące ton najczystszego polskiego śniegu, wyprawił do Polski gońca, ażeby tamtejszy Mróz wysłał zaraz do Palestyny swego najmłodszego syna a w końcu zawezwał do siebie dwa najtęższe afrykańskie wichry, które w wigilię Bożego Narodzenia miały rozsypać śnieg nad Ziemią Świętą.

Ale z tymi wichrami to się sw. Michałowi całkiem nie udało. Bo cóż taki afrykański wiatr? Umie on swoim Arabom dmuchać, ale gdzież mu do tak delikatnej i ślicznej roboty, jak sypanie śniegu! U nas wiatry w dzień wigilijny niosą śnieg ostrożnie, jak gdyby to był święcony opłatek — nie rozmiotą go ani zlepią, nie przygrzeją ani nad miarę zamrożą — że śnieg sypie się potem z ich skrzydeł lekki, cichy i poważny, prawdziwy polski śnieg Boże Narodzeniowy.

A ten afrykański pędziwiatr zepsuł sprawę od pierwszego dotknięcia: najpierw przygrzał po swojemu, aż śnieg zaczął topnieć, potem przestraszywszy się, że będzie bura, wywiał topniejącą chmurę śniegu, wysoko, gdzie panuje wieczyste zimno, tak że z chmury wykruszył się zaraz grad. Na dobitek z żalu i głupiej skruchy począł ten Afrykańczyk dąć i wyć, jak u siebie na libijskiej pustyni.

I tak zrobiło się tutaj na samo Boże Narodzenie istne piekło z ulewą, gradem wichurą, że strach wyjść patrzeć nieprzyjemnie.

Zmartwił się Pan Jezus bardzo a św. Michał nie śmiał mu się teraz na oczy pokazać, ale co się już stało, to się stało i nie odstanie. I tylko wrócić chce się do polskiej zimy, tak aż serce boli."

Gdy skończyłem, młodszy siostrzeniec nożyczkami już rozdłubał pajaca, którego wczoraj otrzymał pod drzewkiem. Starszy milczał przez chwilę, jak gdyby oczekując dalszego ciągu bajki — a kiedy zobaczył, że to już koniec, powiedział:

„Wujciu, ale dzieci w Polsce są teraz bardzo biedne. Prawda, że tak?

„Prawda moje dziecko".

„No to już niech mają lepsze święta od nas. Już mi nie żal."

Wit Tarnawski

Listy do Redakcji

JESZCZE W SPRAWIE KRZYŻA W KORONIE ORŁA

Uwagi nasze o krzyżu w koronie Orła wywołały napływ listów do redakcji, z których jeden — ze względu na wagę sprawy — zamieszczamy w całości.

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Sprawa, o którą chodzi mogłaby być formalnie załatwiona najprościej drogą taką samą, jaką kiedyś usunięto krzyż z godła państwowego, to jest drogą dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej. O ile nas pamięć nie myli, przy podejmowaniu tego aktu ówczesny Prezydent R. P. nie zasięgał bynajmniej opinii Sejmu a opinia społeczeństwa była powszechnie znana jako przeciwna temu aktowi. Tym bardziej nie było tym razem potrzeby kierowania wniosku do Rady Narodowej, nie będącej zresztą konstytucyjnie Sejmem, a jedynie namiastką parlamentu na obczyźnie i to pochodzącą z nominacji Prezydenta.

Stało się jednak tak, że sprawa krzyża w koronie Orła skierowana została na debaty Rady Narodowej, która zaczęła się nią zajmować w zwykły sposób, jaki stosuje się gdy się chce odwlec załatwienie ad infinitum. Wniosek przekazano mianowicie do rozpatrzenia komisji ekspertów, mimo, że sprawa nie wymagała żadnych badań i studiów specjalnych, a jedynie dobrej woli jej załatwienia i zastosowania się do powszechnej opinii katolickiego społeczeństwa polskiego.

Społeczeństwo to jest coraz bardziej zaniepokojone postawą, jaką w tej sprawie zajmują w kołach rządu i Rady Narodowej czynniki przeciwne jej załatwieniu w sposób wyraźny i formalny. Jest rzeczą całkowicie niezrozumiałą, że inicjatywa tak prosta i oczywista — a wobec sytuacji w Kraju tym bardziej paląca — może w kołach politycznych ośrodka rządowego wzbudzać jakiekolwiek wątpliwości i zastrzeżenia. Skoro mówi się dziś tak wiele o opinii publicznej, o urządzaniu plebiscytów i wyborów wśród emigracji polskiej — należy tym bardziej liczyć się z opinią katolicką Polaków tam, gdzie jest ona jednolita i bezkompromisowa.

Sprawa zaś krzyża w godle państwowym należy właśnie do rzędu tych zagadnień, co do których opinia polska jest zgodna i niewątpliwa. Opinia ta nie spocznie w domaganiu się załatwienia nareszcie tej sprawy i wszelkie dalsze jej przewlekania mogą jedynie wywołać rozgoryczenie i słuszny żal w stosunku do tych, którzy jej załatwienie opóźniają.

Łączę wyrazy poważania.

Nazwisko i adres znane redakcji. **S. Z.**

PRZY STOLE WIGILIJNYM PAMIĘTAJMY O CHORYCH W KRAJU

Niemal każdy z nas ma kogoś z bliskich w Polsce. Niemal każdy wędruje w dniu wigilijnym myślami ku swojej wiosce czy miasteczku, w którym o tej samej porze jego bliscy gromadzą się pod choinką, by podzielić się opłatkiem.

I nasi krewni, nasza rodzina pozostała w Kraju, myślą o nas w czasie tej świętej nocy wigilijnej, a często wśród skromnych podarunków świątecznych znajdują lepsze, wartościowsze rzeczy, przesłane im przez nas z zagranicy. Otrzymują odzież, otrzymują żywność i otrzymują lekarstwa. Gorycz rozłąki z nami łagodzą im te dowody naszej pamięci serdecznej. Los ich jest mniej ciężki niż tych, którzy krewnych za granicą nie mają i pomocy od nich nie otrzymują.

Ale jest w Polsce wielu, bardzo wielu takich, do których paczki z zagranicy nie przychodzą, bo ludzie ci nie mają nikogo z bliskich za granicą. Wśród tych najbiedniejsi są chorzy, zwłaszcza samotni którym oprócz biedy materialnej dolega cierpienie fizyczne, często ciężkie i poważne, a wobec którego są oni całkowicie bezsilni. W Kraju brak nowoczesnych, skutecznych lekarstw na leczenie chorób. Te zaś, które przychodzą w formie pomocy od krewnych zza granicy do Kraju nie są dostępne szerszej publiczności, nie tylko dlatego, że jest ich za mało, ale i dlatego, że są zbyt drogie, zwłaszcza dla człowieka biednego. Ten właśnie człowiek biedny i chory winien stać się przedmiotem naszej szczególniejszej opieki i pamięci w okresie świąt Bożego Narodzenia.

„Gazeta Niedzielna" od szeregu lat prowadzi **akcję miłosierdzia,** mającą ulżyć cierpieniom, ratować zdrowie i życie tych naszych braci w Kraju, najbardziej upośledzonych i nieszczęśliwych. Wysłano już wiele setek paczek z lekarstwami, napływają wciąż listy z Kraju z dalszymi prośbami, nie można podołać wszystkim potrzebom z braku funduszów.

Miłosierdzie jest jedną z najpiękniejszych cnót chrześcijaństwa i najwspanialszą odpowiedzią na doktryny nienawiści, cynizm i materializm współczesnego świata. Akcja pomocy chorym w Kraju jest naszym obowiązkiem i katolickim i polskim, a wielkość ofiar na ten cel jest najlepszym sprawdzianem naszej pamięci o tych, którzy najbardziej pomocy potrzebują.

Dobiegnie wkrótce końca nowy rok akcji miłosierdzia „Gazety Niedzielnej", o którego rezultatach pracy ogłosimy szczegółowe sprawozdanie w jednym ze styczniowych numerów naszego pisma. Dziś chcemy tylko ponowić apel do naszych czytelników i przyjaciół, by w okresie świątecznym, mimo znacznych wydatków i trudności własnych nie zapominali o tej sprawie. By zasiadając do wigilijnej wieczerzy mogli to uczynić z poczuciem, iż w zakresie swoich możliwości uczynili wszystko dla ulżenia doli cierpiących w Polsce naszych braci. Może w tym samym momencie, gdy my będziemy się łamać opłatkiem, błogosławić nas będzie jakiś nędzarz w Kraju, nieznany nam nie tylko osobiście ale nawet z nazwiska, któremu nasza skromna ofiara tak bardzo pomogła w walce z chorobą, biedą i opuszczeniem.

Pamiętajmy więc przy stole wigilijnym o chorych w Kraju i o naszych wobec nich obowiązkach.

LISTA OFIAR NR 49

Mchiał Potarzycki 10.0; Bezimiennie z Edyngurga 10.0; A. B. 10.0; Leokadia Mejgło 4.0; Jakub Piekło 8.6; L. Kopacz 10.0; Fr. Banat 1.0.0; A. F. K. z Birmingham 2.0.0; Józef Nawrot 3.0; J. G. Stawerton, Bridge Hostel 1.0.0; Koło Akcji Katolickiej Ipswich 18.3; Bezimiennie z Ipswich 2.0.0; Bezimiennie z Wokingham 5.0; ks. dr Chojecki z USA 16.0.0.

Razem — £ 26. 8. 9.

Ofiarodawcom „Bóg zapłać"!



Dymisja Rządu

Na kilka tygodni przed zapowiedzianym przyjazdem gen. Sosnkowskiego do Londynu rząd gen. Odzierzyńskiego złożył dymisję na ręce Prezydenta R. P. Prezydent Zaleski przyjął dymisję rządu i polecił gen. Odzierzyńskiemu dalsze sprawowanie funkcji do chwili powołania nowego rządu. Równocześnie Prezydent R. P. przeprowadził krótkie konsultacje ze stronnictwami politycznymi.



GENERAŁ ODZIERZYŃSKI

POSZUKIWANIA

Poszukuję inż. KAZIMIERZA STEINA, który w r. 1939 pracował w Fabryce Tytoniowej w Lublinie. Podobno jest w Holandii. Wiadomości proszę nadsyłać na adres: Inż. Jan Beffinger, P.O. Box 5249, Nairobi, Kenya, Colony.

Maria Obarzanowska, Cieplice Śl. — Zdrój, pow. Jelenia Góra, ul. Mireckiego 21 parter, Polska poszukuje swej rodziny: GENOWEFY OBARZANOWSKIEJ, urodzonej w r. 1924 i KATARZYNY OBARZANOWSKIEJ, urodzonej w r.1927 w Hłoskowicach, pow. Brody, woj. tarnopolskie. Obie poszukiwane osoby były wywiezione do sierocińca w Afryce. Katarzyna prawdopodobnie przebywa w Kanadzie.

MANIFESTACJA W NEWCASTLE-ON-TYNE

W ramach akcji protestacyjnej przeciwko prześladowaniu Kościoła w Polsce, organizacje polskie w Newcastle-on-Tyne i angielski Komitet Katolicki związany z Catholic Workers College w Oksford, zorganizowały potężną manifestację w miejscowym City Hall. Ponad 2000 osób reprezentowało 250.000 katolików z diecezji Hexham i Newcastle i gremialnie przyłączyło się do uchwalonej rezolucji potępiającej w najbardziej ostry sposób komunistyczne zbrodnie w Polsce i innych krajach pod rządami Rosji. Zebrani wyrazili oburzenie w związku z aresztowaniem Prymasa Polski i w rezolucji zwrócono się do rządu brytyjskiego o powzięcie właściwej akcji w stosunku do administracji komunistycznej w Polsce.

Przemówienie wygłosił zaproszony na manifestację arcybiskup St. Andrews i Edynburga, ks. Gordon Józef Gray. Mówiąc o Kardynale Wyszyńskim i Kościele w Polsce, Ks. Arcybiskup stwierdził, że ostatnie wypadki otwierają nową fazę w śmiertelnych zmaganiach komunizmu i chrześcijaństwa. Dr M. Przedborski w przemówieniu swym skreślił historię prześladowania Kościoła w Polsce i wyraził wdzięczność katolikom brytyjskim za ich wyrazy protestu. Manifestacji przewodniczył biskup Hexham i Newcastle, ks. J. McCormack, który wysłał osobny telegram protestacyjny na ręce Ojca św.

Prasa miejscowa zamieściła obszerne wzmianki o manifestacji, nadmieniając między innymi, że publiczność stała przed salą w ogonku, na deszczu, już pół godziny przed rozpoczęciem manifestacji.

(t. z.)

SEKCIARSKA BROSZURA

Wśród Polaków w Anglii krąży 31-stronicowa broszurka, wydana w Stanach Zjednoczonych przez „Watchower Bible and Tract Society" pod tytułem „Radość dla wszystkiego ludu". Należy zwrócić uwagę, że broszura ta jako traktująca o zagadnieniach religijnych nie posiada imprimatur władz kościelnych i jako lektura sekciarska nie powinna być czytywana przez katolików.

KĄCIK higieniczny

WIGILIA W POLSCE

Mój dzisiejszy kącik higieniczny odbiegnie od szablonu. Zbliżające się święta Bożego Narodzenia nasunęły mi temat związany z urządzaniem wigilii w Polsce.

Gdy pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, zasiadało się do wieczerzy. Stół musiał być nakryty białym obrusem, a a pod nim musiało znajdować się siano; stół wigilijny stal nakryty przez całe święta, a siana nie wolno było wyrzucać, tylko spalić lub dać zjeść bydlętom. Stół był przybrany świerkowymi gałązkami. Na środku był opłatek. Przed rozpoczęciem wieczoru zwykle matka lub ojciec dzielili się opłatkiem ze wszystkimi domownikami. Później wszyscy między sobą. Nakryć przy stole musiało być do pary i zawsze jedno więcej dla zbłąkanego gościa; mógł być nim i żebrak.

Wieczerza wigilijna musiała się składać z tradycyjnych potraw; gospodynie prześcigały się w ich ilości i jakości.

W Małopolsce Wschodniej pierwszą potrawą był barszcz czysty z kiszonych buraków na smaku grzybowym, do tego podawało się uszka z grzybów, czasem z grzybów i grochu, przetartego lub również z kapusty słodkiej. Na drugie danie były dwa gatunki ryb: ryba smażona w bułce a do tego różne sałatki, lub karp w sosie chrzanowym też z kartofelkami. Na trzecie danie podawało się gołąbki z kapusty i ryżu w sosie grzybowym. Czwartym daniem były pierogi z kapustą słodką. Na piąte danie podawano kutię, czyli pszenicę gotowaną z miodem i makiem. Na końcu kompot ze suszonych owoców, bakalie, ciasta, torty i wino.

Na Wileńszczyźnie pierwszą potrawą był barszcz grzybkowy czyli czysta zupa grzybowa z uszkami z kapustą lub grzybami. Drugie danie: ryba smażona z kartoflami i do tego kapusta słodka duszona z grzybami. Trzecie danie: szczupak w sosie chrzanowym. Czwarte: kutia lub sleżyki (kluseczki) z mleczkiem makowym. Piąte danie: kompot ze suszonych owoców. Na końcu kisiel, bakalie, torty, ciasta, herbata lub wino.

Na Mazowszu w okręgu Warszawy podawano na pierwsze danie przystawki, grzyby smażone z chrzanem, na drugie — rybę w galarecie do wódki i 2 zupy: zupę rybną z kluseczkami barszcz grzybowy, zakwaszony żurem oraz zupę migdałową. Następnie 3 gatunki ryb: karp w szarym sosie, smażona ryba z słodką kapustą duszoną z grzybami i sandacz z jajami. Na trzecie: pierogi z kapustą i grzybkami, pierogi z powidłami. Na czwarte: kluski z makiem albo łamańce z makiem, na końcu kompot z suszonych owoców, bakalie, ciasta i wino.

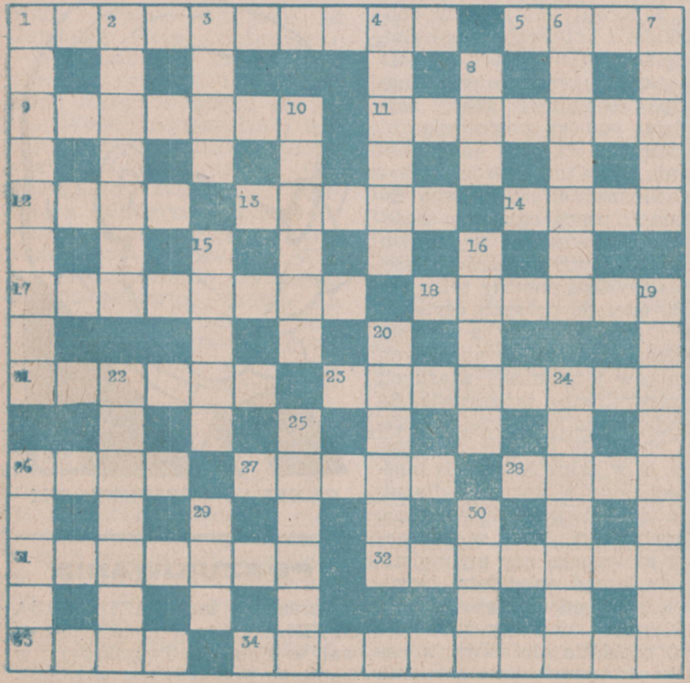
Celina Tarnawska Busza

GWIAZDKOWY KONKURS ROZRYWEK UMYSŁOWYCH



KRZYŻÓWKA

Za rozwiązanie 15 punktów



Poziomo: 1. Zaoczny wyrok, 5. Wyspa, część Indonezji, 9. Odpowiedź, 11. Przyprawa korzenna, 12. Środek lokomocji, 13. Zbójnik z bajki, 14. Port należący do Anglii o kapitalnym znaczeniu strategicznym, 17. Człowiek nie umarł tak długo, gdy jeszcze jedna z nich się tli, 18. Opłata za przewóz (wspak), 21. Okres przed Bożym Narodzeniem, 23. Gra słów, 26. 22 w pion go otrzymuje, 27. Wyznaniowa gmina żydowska, 28. I również, 31. Nie obcy nam człowiek, 32. Najwyższa góra w Tatrach, 33. Bicie, 34. Część stroju liturgicznego.

Pionowo: 1. Hamilkar stamtąd pochodził, 2. Daje się za usługę, 3. Tytuł Rzewuskiego, 4. Zaimek wskazujący, 6. Mityczna kraina szczęśliwości, 7. Leżą u krawca na podłodze (wspak), 8. Owad, 10. Część Stanów Zjednoczonych, 15. Chroni przed zimnem, 16. Część nosa, 19. W Ewangelii był odwrotnością celnika, 20. Często następuje wśród sąsiadów, 22. Właściciel ziemski, 24. Wyspa o której się obecnie dużo pisze, 25. Nazwa poematu staroarabskiego, 26. Udawanie, 29. W suchym statek się naprawia, 30. Podczas sprzeczki nie należy iść na nie.

KUPON KONKURSOWY

Przesyłam rozwiązania ...... zagadek gwiazdkowego konkursu rozrywek umysłowych „Gazety Niedzielnej" na ilość ...... punktów oraz Postal Order na 9 d. (2 międzynarodowe kupony pocztowe).

Imię i nazwisko ....

Dokładny adres ....

Prosimy o czytelne wypełnienie powyższego kuponu

LOGOGRYF

Za rozwiązanie 10 punktów

Z podanych sylab należy ułożyć wyrazy według poniższych znaczeń. Trzecie i szóste litery tych wyrazów czytane z góry na dół dadzą nam upragnione rozwiązanie.

A, na, czy, nie, ba, za, li, ty, o, ro, no, cja, pos, dy, re, ro, wa, ple, pe, ka, mi, dła, mo, nez, gram, na, jo, nia, da, or, ma, toł, przy.

1. Nauka, której raz na tydzień się słucha,
2. Przyprawa do sałaty,
3. Miejsce zamieszkania księdza,
4. Przepis regulujący przeprowadzenie wyborów,
5. Często bywa umieszczany na drobnych osobistych przedmiotach,
6. Na przykład św. Paweł,
7. Obecnie zastąpione przez maszyny,
8. Na wsi nas otacza,
9. Wysokiej klasy musi być ta śpiewaczka,
10. Ich wieże często widywane na Wschodzie.

LITERÓWKA

Z liter każdego z poniższych wyrazów należy ułożyć jak największą ilość nowych wyrazów. Wyrazy muszą być co najmniej trzyliterowe i nie mogą się powtarzać przez zmianę tylko końcówki rodzaju męskiego na rodzaj żeński jak np. biały, biała, oraz nie mogą być czasownikami.

Za każde słowo przyznaje się ¼ punkta.

CZĘSTOCHOWA

KONSTRUKCJA

SKARABEUSZ

KONIKÓWKA

Za rozwiązanie 8 punktów

	dzy	jak	praw	ta	Od	
i	lizm	wnę	Wscho	błys		
wie	du	i	trad	dy	zło	kot
ma	brud	stwa	trza	ność	ha	cias
mad	stwo	for	Na	i	cha	trzask
tot	Za	bez	kłam	rap	nota	ci
kłam	rość	ność	kar	pych	samo	py
	is	chód	lub	a	noś	

Ruchem konika szachowego należy odczytać wyjątek wiersza C. Norwida: „Pieśń od Ziemi naszej".

WARUNKI UDZIAŁU W KONKURSIE

1. Konkurs składa się z czterech zagadek. Rozwiązanie każdej z nich daje uczestnikowi pewną określoną maksymalną (z wyjątkiem literówki) ilość punktów.

2. Maksymalna ilość punktów wynosi łącznie 33 punkty plus maksymalna ilość punktów za literówkę. Wśród uczestników konkursu, którzy uzyskają tę ilość, rozlosowana zostanie *pierwsza nagroda w gotówce w kwocie £. 1.10.0. oraz nagroda pocieszenia w postaci powieści Bolesława Prusa „Faraon"*.

3. Wśród czytelników, którzy uzyskają 30 lub ponad 30 punktów oraz najwyższą ilość punktów za literówkę, rozlosujemy *drugą nagrodę w gotówce w kwocie £. 1.0.0. oraz nagrodę pocieszenia w postaci książki Tadeusza Bora Komorowskiego „Armia Podziemna"*.

4. Wśród czytelników, którzy uzyskają 27 lub ponad 27 punktów oraz najwyższą ilość punktów za literówkę, zostanie rozlosowana *trzecia nagroda w gotówce w kwocie £. 0.10.0. oraz nagroda pocieszenia w postaci książki „Tatry" Ferdynanda Goetla.*

5. Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 5 stycznia 1954. Rozwiązania zagadek i wyniki konkursu ogłosimy w numerze „Gazety Niedzielnej" na 7 lutego 1954. Do każdego rozwiązania należy dołączyć Postal Order na 9 pensów lub 2 międzynarodowe kupony pocztowe oraz wycięty i wypełniony czytelnie, zamieszczony obok kupon konkursowy.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON, W.2. Telefon AMB 6879. VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 2/6; kwartalnie 7/-; półrocznie 14/-; rocznie 28/-. Niezamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA: 1 cal przez 1 łam £. 1. W tekście 50% drożej, na pierwszej stronie 100% drożej. Za każde następne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi 10/- za cal. Ogłoszenia drobne: 1/- od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada. PRZEDSTAWICIELSTWA ADMINISTRACJI — ARGENTYNA: **„Libreria Polaca"** Serrano 2076, pisol Buenos Aires; AUSTRALIA: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Str., Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles; BRAZYLIA: **Z. Kietlinska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana, FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Libraire**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV; HOLANDIA: **P.M.K.**, Schorsmolenstraat, 9, Breda; KANADA: **Canadian Mosaic Publishers Suite**, 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 220, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; NIEMCY: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B), München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück; NORWEGIA: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestum ved Oslo; STANY ZJEDNOCZONE: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica, N.Y. oraz **M. Kijowski** —13171. McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 83, East 22nd Street, Bayonne, N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Filimore Ave., Buffalo 12, N.Y.; SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2; SZWECJA: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revigegatan 13 B; WŁOCHY: **Mme Z. Bułhak-Jelska** — via Salaria 300 C, Roma. W sprawach prenumeraty i ogłoszeń prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press 12, Praed Mews, London, W. 2 Tel.: PAD 8734.